



***Lori Wilde***



***Szczęśliwy przypadek***

# ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Jesteś bardzo śpiąca...

Sara Stanhope wierciła się na twardym drewnianym krześle, które dla jej skapo odzianej pupy było jak narzędzie tortur z kolekcji Markiza de Sade. Ze szczęściem, jakie jej ostatnio dopisywało, mogła być pewna, że w końcu wbije sobie w pośladek drzazgę. Siedziała na podium sali balowej statku wycieczkowego „Alaskan Queen”, wyprostowana, ze skromnie złączonymi nogami, i udawała, że wcale nie czuje się upokorzona.

- Proszę, spróbuj się skoncentrować - utyskującym głosem powiedział hipnotyzer. - Nie odrywaj oczu od zegarka.

Hipnoza. Co za bzdura.

Sara zignorowała stojącego przed nią mężczyznę i powiodła wzrokiem po kolorowej, przebranej w najróżniejsze kostiumy publiczności. Zatrzymała spojrzenie na Kleopatrze i Marilyn Monroe, alias swoich najlepszych przyjaciółkach, Lizzy Magnason i Kim Bishop. „Zapłacicie mi za to”, mówił jej cierpki uśmiech. To przez nie ośmieszała się przed setką ludzi, przebrana w żalosny kostium striptizerki, podczas gdy jakiś wąsaty głupek próbował ją zahipnotyzować.

Nigdy by sobie na coś takiego nie pozwoliła, gdyby Lizzy i Kim nie podpuściły jej perfidnie, mówiąc, że jest sztywniaczką bez odrobiny poczucia humoru.

Pod pretekstem uczczenia urodzin Sary namówiły ją na dziesięciodniowy rejs po wodach Alaski. Dopiero na pokładzie przyznały, że to był spisek uknuty z myślą o niej: „żebyś się wyluzowała i pożyła chwilę jak człowiek”. Martwiły się, że zbyt dużo czasu poświęca pro-

wadzeniu imperium octowego Stanhope'ów i niańczeniu niedomagającego ojca. Samej Sarze nie doskwierała ani ciężka praca, ani opiekowanie się tatą. Za to do szału doprowadzały ją Lizzy i Kim, przekonujące na siłę do własnej koncepcji dobrej zabawy.

A wstrętny kostium i ten podrzędny hipnotyzer nie były najgorszymi z niespodzianek, które jej zgotowały. Szczytem wszystkiego było zabranie na rejs Harveya Donovana.

Och, Harvey był przystojny, obracał się w ich towarzystwie i uchodził za świetną partię. Właściwie sama sobie była winna, bo nigdy nie protestowała, kiedy Lizzy i Kim piały nad nim z zachwytu. Wybąkiwała „uhuu” na odczepnego, zamiast powiedzieć, co naprawdę o nim myśli.

Tak więc Lizzy i Kim zabawiły się w swatki i zaprosiły go na tę wycieczkę w nadziei, że wyniknie z tego pokładowy romans. Jak dotąd, Sara była uprzejma, wiedząc, że jej przyjaciółki chciały dobrze, ale nie miała zamiaru udawać, że jest choćby w najmniejszym stopniu zainteresowana facetem, który nigdy nie traci okazji, żeby zerknąć na swoje odbicie w lustrze.

Albo jego luksusowym bentleyem z posrebrzаныmi szybami i Bóg wie czym jeszcze.

Zerknęła na siedzącego w pierwszym rzędzie Harveya, przebranego dość trafnie za Pepe Le Skunksa. Puścił perskie oko, ściągnął wargi i posłał jej całusa.

Fuj. Na samą myśl o prawdziwym pocałunku z takim typem miała ochotę przetrzeć usta papierem ściernym.

Z dwojga złego wolą patrzeć na hipnotyzera. I pomyśleć, że czekało ją jeszcze dziewięć dni takiej zabawy.

- Skup się - rozkazał mężczyzna.

Wzdychając ciężko, Sara poddała się i skoncentrowała uwagę na kieszonkowym zegarku, którym hipnotyzer machał jej przed twarzą.

- Teraz zapadniesz w głęboki, relaksujący sen. Uhm, akurat.

- Zaspasz.

Zaczęły jej ciążyć powieki.

- Głęboko, coraz głębiej.

No dobrze. Zamknęła oczy. Pomyślała, że może grać fair i nie psuć reszcie zabawy, ale mowy nie ma, żeby ten facet ją zahipnotyzował.

- Kiedy powiem: „gorący seks”, staniesz się ponętą striptizerką o imieniu Sexy Sadie.

Tere-fere.

Mówił dalej, plótł o jakiejś tam Sadie coraz bardziej monotonnym głosem i Sara przestała wychwytywać poszczególne słowa. Ogarnął ją rozkoszny bezwład i wcale nie była zainteresowana tym gładzeniem.

- Małżeństwo! - krzyknął hipnotyzer i strzelił palcami.

Kiedy Sara otworzyła oczy, publiczność biła gorące brawa. Spojrzała na zegarek i zdała sobie sprawę, że minęło dobre piętnaście minut. Musiała zasnąć, a hipnotyzer był przekonany, że to jego zasługa. Dziwiąc się łatwowierności niektórych ludzi, pokręciła głową, wstała i zeszła ze sceny.

- Chwileczkę - powiedział mężczyzna. - Panienko, proszę wrócić. Jeszcze pani nie przeorientowałem.

Sara machnęła ręką. Przeorientowałem, prze-ba-je-ro-wa-łem. Nie miała zamiaru wygłupiać się ani chwili dłużej. Nie znosiła być obiektem powszechnego zainteresowania.

Lizzy i Kim wzięły ją w kółeczko,

- Lepiej wróć tam i pozwól hipnotyzerowi zrobić swoje.

- Ale po co, do diabła? Przecież to zwykły cyrk. Lipa.

- Uhm... ale faktem jest, że kiedy stajesz się Sexy Sadie, wstępuje w ciebie diabeł - zakpiła Lizzy. - To jednak prawda, że jabłko pada niedaleko od jabłoni. Choćbyś nie wiem jak udawała, że jest inaczej.

- Co wy bredzicie?

- Zawsze podejrzewałyśmy, że pod tą fasadą opanowania i rozsądku czai się gorący temperament twojej matki - powiedziała Kim. - No i miałyśmy rację! Słuchaj, dałaś takiego czadu, że ludziom opadły szczęki.

Sara miała uczucie, jakby niewidzialna ręka zaciskała się na jej szyi. Nie. Ona nie była taka jak jej matka.

- O czym wy gadacie? Ja nic nie zrobiłam...

- Tańczyłaś przed tym hipnotyzerem.

- Nieprawda.

- Prawda. Zobacz, zrobiłyśmy ci zdjęcia. - Lizzy wetknęła jej do ręki fotografię z polaroida.

Teraz Sarze opadła szczeka. Z odrzuconą do tyłu głową i wypiętym biustem wyglądała jak jakaś... jakaś dyskotekowa panienka.

Nagle zabrakło jej tchu. Nie mogła uwierzyć, że wykonała coś tak nieprzyzwoitego na oczach tyłu ludzi.

- Sara? - spytała Kim. - Dobrze się czujesz?

- Muszę wyjść na świeże powietrze. - Odwróciła się na obcasach - idiotycznych dziesięciocentymetrowych szpilkach, do których założenia zmusiły ją Lizzy i Kim - i pognęła do najbliższego wyjścia.

- Sara, zaczekaj na mnie! - krzyknął Harvey.

To tylko zmobilizowało ją do szybszej ucieczki. Musiała dostać się do swojej kabiny i zmienić ubranie - jeśli można było nazwać ubranie cztery skrawki koronkowego materiału.

Ominęła windy i puściła się w dół po schodach. Jeden zakręt. Drugi zakręt. Już pomyślała, że wyprowadziła Harveya w pole, gdy zobaczyła go przed drzwiami swojej kabiny.

- Sara! Mam cię, niegrzeczna dziewczynko.

Dzieliła ich długość korytarza, ale zbliżał się do niej szybkimi krokami.

Boże święty! Odwróciła się i w nogi. W porządku, pomyślała. A niech tam. Mogła uchodzić za tchórza, ale nie miała zamiaru narażać się na zaczepki jakiegoś wygłodzonego seksualnie skunksa.

Ciarki jej przeszły po plecach na myśl o paradowaniu w tym groteskowym kostiumie, ale gorsza była perspektywa spędzenia kolejnych dziewięciu dni rejsu z dwiema życzliwymi, ale nieobliczalnymi przyjaciółkami i jednym kochliwym do obrzydliwości skunksem. Jedynym rozwiązaniem było zejść na ląd do śpiącej osady, gdzie teraz cumowali, znaleźć telefon, bo swoją komórkę zostawiła w kabinie, zadzwonić do taty i poprosić, żeby wysłał po nią prywatny samolot.

Wjechała windą na górny pokład i nie oglądając się za siebie, pognęła do trapu.

- Sara! - Głos Harveya alias Pepe dobiegł ją w chwili, gdy jedną nogą była na pomoście.

Stukając obcasami, pobiegła szybciej. Ale nie dość szybko, bo usłyszała za plecami jego oddech.

- Zaczekaj.

Czy ten facet nic nie łapał? Jego końskie zaloty przyprawiały ją o niestrawność.

- Gorący seks.

Stała jak wryta. Wytrzeszczyła oczy i odwróciła się do Pepe, który stał kilka metrów przed nią, z szerokim uśmiechem na twarzy.

- Co? Co powiedziałaś?

- Gorący seks.

Jake Gerard wylegiwał się na leżaku z twarzą wystawioną do słońca. W ostatnim miesiącu harował całe dni, więc choć była sobota, najruchliwszy dzień w restauracji, pozwolił sobie na kilka godzin popołudniowego relaksu. W sierpniu słońce nie zachodziło przed północą i większość turystów schodziła się na kolację po dziesiątej.

Nie odstępowały go piękne kobiety. Candy, zgrabna blondynka z Memphis, otworzyła mu właśnie puszkę piwa. Lola, zielonooka brunetka z Kansas City, raczyła go plasterkami melona. Kruczoczarna Amber z Tucson zarzuciła jego wędkę w spokojną toń wody.

To, że pozwolił ślicznym dziewczynom spełniać każdą swoją zachciankę, nie było chyba najmądrzejszym posunięciem. Z pewnością nie chciał ich zwodzić - interesowało go miłe spędzanie czasu, a nie łamanie kobiecych serc - i od początku dawał im jasno do zrozumienia, że rozkręcenie nowego interesu jest dla niego ważniejsze od rozrywek. Z drugiej strony, jaki sens miałyby szukanie żony przez ogłoszenie matrymonialne, gdyby poznawanie kandydatek nie mogło być przyjemnością samą w sobie?

Brać życie lekko. To było jego motto. Przynajmniej do ostatniej zimy, kiedy niewiele myśląc, dał się namówić swoim trzem przyjaciółom

na zamieszczenie w magazynie „Metropolitan” wspólnego ogłoszenia matrymonialnego. Wtedy nie był pewien, czy jest gotowy do małżeństwa, ale teraz przyznawał w duchu, że pomysł był znakomity.

Do Bear Creek na Alasce, w którym wcześniej na jedną kobietę przypadało dziesięciu mężczyzn, zjeżdżały tabuny kobiet z całego kraju, po tym jak w czerwcowym numerze pisma pojawiło się ogłoszenie. Jake'owi poszukiwanie odpowiedniej żony mogło zająć bardzo dużo czasu. Mogło nawet przeciągnąć się na lata. Zwłaszcza dlatego, że kilka miesięcy temu kupił bar „Paradise” i ciężko pracował na to, żeby zrobić z niego przyzwoitej klasy restaurację.

Uśmiechnął się pod nosem. Nie było sensu wiązać się przedwcześnie tylko dlatego, że jego koledzy zakochiwali się jeden po drugim.

- Jeszcze plasterki melona, Jake? - spytała Lola.

- Nie, skarbie, dziękuję. Ale jak chcesz, możesz jeszcze raz pomasować mi kark.

- Hej - pisnęła Candy. - Teraz moja kolej na masowanie ci karku.

- Ty miałaś smarować go kremem - wtrąciła się Amber.

- Dziewczyny, dziewczyny. Starczy mnie dla was wszystkich.

- Hej, spójrzcie. - Lola wskazała coś palcem. - Co tam się dzieje?

- A niech mnie... - Jake zsunął okulary słoneczne na czoło i sięgnął po lornetkę.

Ogromny skunks szedł przez pomost krok w krok za młodą rudowłosą kobietą, która w widocznym pośpiechu oddalała się od statku. Miała na sobie bardzo prowokacyjny strój. Czarny gorset, czarne siatkowe pończochy, czerwone podwiązki, czerwono-czarne boa i wysokie szpilki na olśniewająco zgrabnych nogach.



- Czy oni odgrywają jakiś skecz? - spytała śliczna, ale mało rozgarnięta Candy.

- Wygląda na to, że się kłóca - powiedziała Amber.

Skunks, który z bliższej odległości wyglądał raczej jak Pepe Le Skunks, chwycił niestosownie odzianą kobietę za łokieć. Chwilę później porwał ją w ramiona i złożył siarczysty pocałunek na jej ustach.

- Jeżeli się kłócili, to chyba teraz się godzą. - Jake odłożył lornetkę i pokręcił głową. Zwariowani turyści.

- Nie, zaczekaj. Popatrz. Ona go zwyczajnie leje... - Candy położyła rękę na ramieniu Jake'a.

Rzeczywiście, rudowłosa kobieta biła skunksa po głowie jego własnym ogonem. Złośnica.

Jake uśmiechnął się dyskretnie. Lubił skapo ubrane, zadziorne, rude kobiety.

Spójrz prawdzie w oczy, Jake, ty po prostu lubisz kobiety.

- Jake, może powinieneś się wtrącić? - Lola nerwowo skubała dolną wargę.

- Och, wygląda na to, że sama sobie poradzi.

- Nie o nią się boję, tylko o niego.

- Masz rację.

Nie życzył tej czupurnej ślicznotce, żeby wyładowała w więzieniu za morderstwo z premedytacją na skunksie. Poza tym skłamałby, mówiąc, że nie palił się do obejrzenia z bliska tego dynamicznego ciała. Wstał z leżaka i ruszył na pomost, tam, gdzie u stóp swojej pogromczynie klęczał Pepe, błagając o litość.

Gdy Jake dotarł do nich swoim normalnym leniwym krokiem, skunks mazał się jak dziecko.

- Włożyłaś mi koniec ogona do oka.

- Przez ten kostium Pepe Le Skunksa pomieszało ci się w głowie - mówiła. - Myślisz, że możesz bezkarnie napastować kobietę, całować ją wbrew jej woli?

- Nie. Postąpiłem źle, okej? Nie powinienem całować cię bez pozwolenia.

- Hej, potrzebujecie pomocy? - zaciągnął z południowym akcentem Jake.

- Nie. - Pepe poderwał się na nogi. - To jest prywatna sprawa między mną a moją partnerką.

- Bzdura. Nigdy przedtem nie widziałam tego obrzydliwego skunksa.

- Mówisz tak przez to, co się stało na scenie.

- Nieprawda.

- Więc on cię zna czy nie? - Jake przekrzywił głowę.

- Tak - powiedział Pepe.

- Nie - zaprzeczyła kobieta.

- Ty nic nie rozumiesz. - Pepe zwrócił się do Jake'a. - Ona nie jest przy zdrowych zmysłach.

- Chcesz powiedzieć, że zwariowałam? Uważaj, żebyś jeszcze raz nie zrobiła użytku z twojego ogona.

- Nie, nie. - Pepe zasłonił twarz w obronnym geście. - Nie zwariowałam, tylko...

- Tak? - Założyła ręce na biodra i wysunęła do przodu szczękę.

Jake'owi zrobiło się szczerze żal biednego Pepe.

- Możesz będzie lepiej, jak sobie pójdiesz.
- Bez niej nigdzie się stąd nie ruszę.

Trudno było mu się dziwić. Jake obrzucił kobietę powłóczytym spojrzeniem. Jej długie kręcone włosy opadały rudą falą na plecy, pojedyncze delikatne loczki okalały trójkątną twarz. Miała zgrabny, piegowaty nos, niebieskie roziskrzzone oczy w oprawie niewiarygodnie długich rzęs i mlecznobrzoskwiniową cerę.

I te usta! Dojrzałe, pełne, szkarłatne. Marzenie każdego mężczyzny.

Położyła rękę na ramieniu Jake'a.

- Mógłbyś dla mnie coś zrobić?
- Dla ciebie, Błękitnooka, wszystko.

- Przekonaj go, żeby zszedł mi z oczu. Jake spojrzał na Pepe, rozkładając ręce.

- Przykro mi, stary, ale ta dama nie chce mieć z tobą nic wspólnego.

- Sio! - Machnęła rękami na skunksa. - Spadaj.

- Popelniasz wielki błąd - powiedział Pepe do Jake'a. - Nie wiesz, w co się pakujesz.

- Zostaw nas - powtórzyła kobieta.

Jake podszedł do Pepe. Nie lubił awantur, ale kobieta wyraziła jasno swoje życzenie.

- Radzę ci wrócić na statek.

- Okej. W porządku. Teraz ty będziesz miał z nią kłopot, ale nie mów, że cię nie ostrzegałem. Ona nie jest kimś, na kogo wygląda. - Pepe chwycił swój wytłamszony ogon, przerzucił go przez ramię i ruszył w stronę trapu.

- Dzięki Bogu - westchnęła i wzięła Jake'a pod ramię. - Myślałam, że nigdy sobie nie pójdzie.

- Paskudny śmierdziel, co?

- Wystarczy, że masz ładną buzię, kotku. Nie próbuj być zbyt dowcipny.

- Ooo. Pani ma cięty języczek.

- Nie zapominaj o tym. - Uśmiechnęła się i pokazała mu koniuszek tego ostrego różowego języka. Potem powachlowała dłonią szyję. - Uff. Spociałam się z wysiłku. Możemy znaleźć jakieś ocienione miejsce? Wystarczy pięć minut słońca i cała jestem w piegach.

Dotąd był niezwykle uprzejmy, zerkając tylko ukradkiem na jej fantastyczne ciało, zamiast otwarcie pożerać je wzrokiem. Ale teraz sama go sprowokowała. Rzeczywiście, maleńkie kropelki potu zebrane we wgłębieniu jej szyi zaczęły wąską strużką spływać na południe, do Krainy Marzeń.

Duma rozpierała mu pierś, gdy prowadził ją przez pomost. Z przymkniętymi oczami wciągał w nozdrza jej cudowny zapach: rózu, mydła i kobiecej świeżości.

- Mam na imię Sadie - powiedziała jedwabistym głosem. - A ty?

- Jake. Jake Gerard.

- Miło mi, Jake. Dzięki za pomoc.

- Nie ma o czym mówić.

Wolną ręką przysłoniwszy oczy, zmierzyła wzrokiem Amber, Lolę i Candy, które zmierzały ku nim z długą wędką. Przy Sadie wszystkie trzy wyglądały jak niewinne uczennice, które wybrały się budować zamki z piasku.

- Twoja paczka? - Sadie spojrzała na niego z uniesionymi brwiami.

- Nieee... Kilka fanek, z którymi skracam sobie czas.

- Fanek? - Sprowadziła go na ziemię z rozbawioną miną. - No, no, masz o sobie wysokie mniemanie, co?

Podobał mu się sposób, w jaki żartowała. Podobał mu się sposób, w jaki uwodziła swoim ciałem. Była zalotna, ale bez żadnej skłonności do mizdrzenia się. Była pewna siebie i niczego nie udawała. Była kobietą, która miała pełną świadomość tego, jak piorunujące wrażenie robi na mężczyznach.

- Nie jestem przesadnie zapatrzony w siebie. One naprawdę są moimi fankami.

- Fankami czego? Bajeczek, które im opowiadasz? Nie mógł się nie roześmiać.

- Naprawdę trudno zrobić na tobie wrażenie.

- Mój strój nie oznacza, że jestem łatwa. Pepe przekonał się o tym w bolesny sposób.

Mimo woli prześliznął się wzrokiem po jej kształtnej figurze.

Zauważył, że tasiemki jej gorsetu poluzowały się, odsłaniając mały, jasny pępek. Przeszył go miły dreszcz wzdłuż kręgosłupa.

Gdyby strzelił we mnie teraz piorun, umarłbym szczęśliwy.

Jake potknął się o wystającą deskę i omal nie przewrócił Sadie.

- Nic ci nie jest? Dobrze się czujesz? - Przytrzymała go za ramiona, pomagając odzyskać równowagę.

O wiele lepiej niż dobrze, ślicznotko.

Miała cudownie zatroskaną minę i przez moment Jake był o krok od pocałowania jej. Ale nie chciał popełnić tego samego błędu co skunks. Cholera. Doskonale rozumiał, dlaczego Pepe był w niej tak zadurzony.

Uważaj, pamiętaj, że raz na zawsze wybiłeś sobie z głowy kobiety, które paradują publicznie w fikuśnej bieliźnie. - Och, ale niewinny flirt nikomu jeszcze nie zaszkodził. Prawda? Przecież to było to, co robił z Lolą, Candy i Amber.

Tak, ale to zupełnie co innego. Wiedział o tym od chwili, kiedy spojrzął głęboko w te niebieskie oczy. W przeciwieństwie do Loli, Candy i Amber Sadie była niebezpieczna.

Należała do tego rodzaju kobiet, w jakich zakochiwał się po uszy, co z resztą zawsze kończyło się dla niego boleśnie. Wszyscy mu mówili, że pociągały go niewłaściwe kobiety - i musiał przyznać im rację. On potrzebował kobiety rozsądnej, stałej w uczuciach, o silnym instynkcie opiekuńczym, Potrzebował ostoi.

A jednak myśl o ożenieniu się z ostoją przyprawiała go o ciarki. Kochał swoją wolność i wątpił, czy jest gotów wyrzec się jej dla kobiety.

Ale miał też w sobie coś z blagiera i nie zasługiwał tak naprawdę na swoją reputację playboya. Lubił flirtować -a w Bear Creek, miejscowości turystycznej, okazji ku temu nie brakowało - ale wbrew pozorom nie był playboyem. Po prostu lubił się dobrze bawić. Miał za sobą traumatyczne dzieciństwo i dlatego jako dorosły próbował zapomnieć o przeszłości, korzystając w pełni z uroków życia. Zawsze miał wokół siebie mnóstwo kobiet, ale nawet jego bliscy przyjaciele zdziwiliby się, wiedząc, jak niewiele z nich lądowało w jego łóżku.

- Hej, Jake. - Głos Loli wyrwał go z zamyślenia. Ona, Amber i Candy patrzyły na niego wyczekująco. - Kim jest twoja nowa znajoma?

Podczas prezentacji kobiety mierzyły się wzrokiem jak bokserzy wagi ciężkiej przed pierwszym gongiem.

- Miło mi was poznać. - Sadie uśmiechnęła się.

- Widziałyśmy, jak się użerałaś z tym skunksem -powiedziała Candy.

- To twój chłopak?

- Boże, skąd! Jakiś obleśny facet, który mnie napastował.

Lola spojrzała wymownie na skąpe odzienie Sadie.

- Domyślam się, czym wywarłaś na nim tak mylne wrażenie.

- To mój kostium. - Sadie wzruszyła nonszalancko ramionami. -

Grałam w wodewilu.

- Jako striptizerka? - spytała Candy.

- Tak. Przed występami na „Alaskan Queen” pracowałam w agencji „Striptizerki-To-My”. No wiecie, ludzie zamawiają striptizerki na wieczory -kawalerskie i różne takie.

- Wyskakiwałaś kiedyś z tortu? - spytała Candy. -Zawsze chciałam zrobić ten numer.

- Raz, może dwa razy... Ale nienawidziłam tego lukru we włosach. Moją specjalnością była „Niegrzeczna Pielęgniarka”. Nikt tak nie umiał żonglować słuchawką lekarską jak ja. Nawet dziewczyny, które się roz-bierały, żeby skończyć szkołę pielęgniarską. Ale doszłam do wniosku, że ściągam sobie na głowę kłopoty, takich różnych Pepe Le Skunksów, i dlatego postanowiłam rzucić taniec egzotyczny i zacząć coś nowego. - Zerknęła na Jake'a. - A to miasteczko wygląda bardzo obiecująco.

No, no. Ledwie zeszła z tego statku i już postanowiła zacząć nowe życie?

Patrzył na nią z coraz większym podziwem. Wiedział, czym jest impulsywność. Przez całe życie na zmianę ulegał jej i - z różnym skutkiem - z nią walczył. To, co zrobiła ta kobieta, wymagało sporo odwagi, nawet jeśli nie było zbyt rozsądne.

Uśmiechnął się. Rozsądne kobiety nigdy go przesadnie nie pociągały.

- Jeśli zdecydowałaś się tu przyjechać, żeby zacząć wszystko od nowa, to pewnie słyszałaś o kawalerach z Bear Creek - powiedziała Amber i zaborczym gestem uwiesiła się na wolnym ramieniu Jake'a.

- Nie.

- Daj spokój. Chcesz powiedzieć, że nie wiedziałaś, że Quinn Scofield, Mack McCaulley, Caleb Greenleaf i ten oto Jake dali ogłoszenie w „Metropolitarnie”? - Lola spiorunowała wzrokiem najpierw Amber, a potem Sadie.

- Przykro mi, ale pierwsze słyszę.

Jake był pewien, że żadna z trzech kobiet jej nie wierzyła, ale on wierzył. Sadie nie przyjechała na Alaskę, żeby upolować męża. Ona szukała nowej przygody.

Rozumiał to jak nikt inny. Sam całe życie uganiał się za przygodami. Wspiął się na szczyt McKinley, skakał ze spadochronem, żeglował podczas huraganu. Miał naturalną potrzebę ryzyka.

- Nie żartuj. Wyszłaś sobie tak po prostu na brzeg... - Candy machnęła ręką na kostium Sadie -... w stroju striptizerki i twierdzisz, że nie



miałś pojęcia, że Jake i jego przyjaciele szukają kandydatek do  
małżeństwa?

RS

## ROZDZIAŁ DRUGI

Małżeństwo.

Sara zamrugła i spojrzała na otaczających ją ludzi. Trzy bardzo ładne kobiety i... co to? Stała pod rękę z jakimś mężczyzną - tak niewiarygodnie przystojnym, że dech jej zapało z wrażenia.

Zdumiona, cofnęła się gwałtownie, uwalniając rękę.

Gdzie ja jestem? Co się dzieje? Kim są ci ludzie? O mój Boże, czy to „Alaskan Queen” odbija od brzegu?

Wszystkie jej rzeczy zostały na statku. Dokumenty, pieniądze, telefon komórkowy... ubrania. A Lizzy i Kim będą szalały z niepokoju, kiedy odkryją, że jej nie ma.

Serce jej zamarło, gdy zdała sobie sprawę, że nie dość, że ma lukę w pamięci, to stoi prawie naga na przystani, w jakiejś pipidówce na Alasce, z grupą kompletnie nieznanym ludzi. Uniosła ręce, żeby zasłonić dekolt, i z całej siły próbowała zachować spokój. Mogła zadzwonić do taty. Tak jak zamierzała zrobić, kiedy uciekała przed Harveyem. Nic się nie zmieniło. Wciąż panowała nad sytuacją.

- Czy mogłabym... - Spojrzała na mężczyznę, który przyglądał jej się z lekko zdziwioną miną. – Czy mógłbyś... ee... pokazać mi, gdzie jest telefon? I jeśli to nie będzie zbyt duży kłopot, może znalazłbyś mi jakieś ubranie?

- Jasne.

Był miły i bardzo życzliwy. Gdyby jeszcze mogła sobie przypomnieć, jak ma na imię.

- Bardzo ci dziękuję. - Uśmiechnęła się, próbując zapanować nad ogarniającą ją paniką. Co się wydarzyło i skąd ta luka w pamięci?

Jake zwrócił się do swoich trzech towarzyszek.

- Zostawiam was, drogie panie, i życzę, żebyście miło spędziły resztę popołudnia.

- Ale Jake - pisnęła blondynka - jutro rano stąd wyjeżdżamy.

- Żadnej z nas nie zabrałeś na randkę, chociaż obiecałeś - powiedziała brunetka.

- Zobaczymy się jutro rano.

Rozczarowane kobiety sztyletowały wzrokiem Sarę. O co im mogło chodzić? Bały się, że chce im odbić tego przystojniaka? Nonsens! Ostatnią rzeczą, której chciała, było wplatać się w jakąś przygodę z miłośnikiem dzikiej natury z zapadłej miejsciny na Alasce. Ona nie wyobrażała sobie życia poza wielkim miastem i chciała wrócić do domu. Natychmiast.

- Chodźmy. - Jake zwrócił się do Sary. - Mam własny pensjonat, niedaleko stąd. Nazywa się „Czerwona Latarnia”. Możesz tam skorzystać z telefonu, a ja w tym czasie znajdę ci jakieś ubranie.

Wziął ją za rękę i poprowadził drewnianym spacerowym pasażem w kierunku miasteczka. Zdziwił ją ten opiekuńczy gest i zaczęła się zastanawiać, czy on wyczuwa jej lęk.

Dotąd rzadko bywała zdana na samą siebie i czuła się trochę zagubiona. Prawie zawsze miała przy sobie swojego ojca, bo w firmie była jego główną asystentką, no i wciąż z nim mieszkała. Właściwie gdyby nie to, że tata nalegał, żeby przyjęła zaproszenie na ten rejs, nigdy by się tu nie znalazła.

Minęli kilka malowniczych sklepików, jakąś stację radiową o nazwie KCRK i bar „Szczęśliwy Maskonur”. Przechodnie ostentacyjnie gapili się na Sarę i jej skąpy strój. To było jak w koszmarnym śnie: czuła się naga wśród tłumu i nie miała gdzie się schować.

- Mógłbyś powtórzyć swoje imię? - spytała z godnością i zimną krwią, do czego, jak sobie tłumaczyła, zobowiązywało ją dobre wychowanie.

- Jake.

- Och tak. Zapomniałam.

Uciekła wzrokiem przed jego szczerze zdziwionym spojrzeniem. Co się stało z jej pamięcią? Wstrząsnął nią zimny dreszcz.

- Boże, kobieto, masz gęsią skórę na całym ciele. - Jake zatrzymał się, wypuścił jej rękę i rozpiął swoją koszulę.

- Co... co ty robisz?

- Trzęsiesz się z zimna.

- Nic mi nie będzie.

Nie miał zamiaru się sprzeczać, po prostu zdjął koszulę i owinał nią ramiona Sary.

- No. Teraz lepiej?

Skinęła głową, ale nie było lepiej. Przeciwnie. Teraz nie dość, że sama była roznegliżowana, to jeszcze paradowała w towarzystwie faceta z nagim torsem.

A jakież to był tors!

Czuła, że zaschło jej w ustach. Nie chciała się gapić, ale to było silniejsze od niej. Czy można zignorować posąg Dawida albo zatkać uszy

na koncercie Vana Cliburna, albo zamówić dietetyczny koktajl w wykwintnej restauracji?

Nie można.

Naruszyła wszystkie zasady dobrego wychowania. Sara Jane Stanhope, dziedziczka stuletniego imperium octowego Stanhope'ów z San Francisco, pożerała wzrokiem półnagiego mężczyznę.

Wyglądał jak grecki heros. A ona przestała odczuwać chłód. Było jej gorąco, potwornie gorąco i duszno.

Uśmiechnął się kącikami ust.

- Widzisz coś, co ci się podoba?

Nie zaczerwienię się i nie połknę przynęty, postanowiła.

- Dzięki za koszulę. - Owinęła się nią ciasniej, jak gdyby śmiesznie cienki materiał mógł ją ochronić przed wszelkimi pokusami.

Sztuczka nie zadziałała. Nic a nic. Koszula miała jego ciepły, korzenny, upajający męski zapach.

Zauważyła, że Jake przygląda się jej w skupieniu. Jak gdyby dostrzegał coś więcej niż wygląd zewnętrzny - który w tym żalonym kostiumie był przerażająco wymowny.

Jego brązowe oczy iskrzyły pożądaniem. Pragnął jej. Ale nie w taki chciwy, odrażający sposób, w jaki próbował dobrać się do niej Harvey. Na długą chwilę wstrzymała oddech i w głupi, dziewczęcy sposób zakręciło jej się w głowie. To było zupełnie do niej niepodobne...

- Telefon? - zachrypiała, z trudem odrywając od niego wzrok.

- Ach tak. Telefon. - Nie wziął jej z powrotem za rękę, tylko przeczesał palcami swoje czarująco rozwichrzone włosy i brodą wskazał kierunek. - Tędy.

W milczeniu dotarli do dwupiętrowego wiejskiego pensjonatu w kolorze głębokiej, soczystej zieleni. Robił przytulne, sielankowe wrażenie i Sara od pierwszej chwili poczuła się w nim jak w domu.

To wrażenie zaniepokoiło ją. Urodziła się i wychowała w samym sercu San Francisco i nigdy jej nie ciągnęło do takich małych miasteczek. Lubiała szybkie tempo życia i nie potrafiła sobie wytłumaczyć, czym ją to miejsce urzekło.

Ani czym ją urzekł ten mężczyzna.

W progu przywitał ich radośnie husky, którego Jake przedstawił jako Lulu, skończoną kleptomankę. Ostrzegł Sarę, żeby nie zostawiała żadnych swoich rzeczy w miejscach, do których miała dostęp Lulu.

Jakich rzeczy? Nerwowo poklepała psa, który z zaciekawieniem obwąchiwał jej boa. Trochę się bała dużych stworzeń, ale Lulu wydawała się dość przyjazna.

Jake przegonił psa i zaprowadził Sarę do kącika recepcyjnego. Pokazał jej telefon.

- Um... Czy nie ma tu jakiegoś... bardziej prywatnego miejsca? - Zerknęła wymownie na gości w korytarzu, a potem na swój strój.

- Aha, jasne. Możesz zadzwonić z mojej sypialni. Chodź.

Jego sypialni. Nie wiadomo, co gorsze..., Ale Jake nie zostawił jej żadnego wyboru. Skręcił w korytarz za recepcją, a ona idąc za nim posłusznie, zastanawiała się, jaki diabeł podkusił ją do zejścia z „Alaskan Queen”.

- Proszę. - Otworzył drzwi i gestem ręki zaprosił ją do środka.

Jego łóżko wyglądało na zamówione z katalogu „Chata marzeń człowieka gór”. Było podwójnej szerokości - ale nie wyobrażała sobie,

żeby ten ogromny mężczyzna zmieścił się na czymś mniejszym - i ręcznie wyciosane z drzewa cedrowego. Wezgiłowie było pokryte skórą wapiti, a materac zasłany pikowaną narzutą w czerwono-czarną kratę i zarzucony mnóstwem czerwono-czarnych poduszek.

To łóżko wprowadziło ją w osłupienie. Nie mogła oderwać od niego wzroku. Założyłaby się o ostatniego dolara, że ten facet rzadko sypiał w nim sam.

- Telefon jest na stoliku przy łóżku. Próbowała nie patrzeć na jego nagi tors. Zdjęła z ramion koszulę i podała mu ją szybkim ruchem.

- Przyda ci się.

- Aa. Prawie o niej zapomniałem. Dzwonź sobie spokojnie, a ja w tym czasie spróbuję znaleźć dla ciebie jakieś ciuchy. - Oceniał szybkim spojrzeniem jej rozmiar. - Szóstka? - Zabrzmiało to jak stwierdzenie, a nie pytanie.

- Uhm. - Była pod wrażeniem. Musiał mieć dużą praktykę w ubieraniu i rozbieraniu kobiet.

- I pewnie przydadzą ci się wygodniejsze buty. Siódemka?

- Ósemka.

Ku jej ogromnej uldze założył w końcu koszulę i zamknął za sobą drzwi.

Sara opadła na łóżko, wciągnęła w nozdrza znajomy zapach i zdała sobie sprawę, że cała drży.

Spokojnie, wszystko będzie dobrze, uspokajała się. Jak tylko zadzwonisz do taty.

Podniosła słuchawkę i wybrała domowy numer swojego ojca.

- Halo - odezwał się chłodny kobiecy głos, który nie należał do Margaret, ich gospodyni.

- Och, przepraszam. Musiałam wybrać zły numer. Pewna, że się pomyliła, połączyła się jeszcze raz.

Odebrała ta sama kobieta.

- Bardzo przepraszam, ale chyba znów się pomyliłam.

- A z kim pani chce rozmawiać?

- Z Charlesem Stanhope'em.

- Jest pod prysznicem. Czy mam mu coś przekazać?

Obca kobieta odbiera telefon domowy jej ojca, podczas gdy on jest pod prysznicem? Sara chwyciła mocniej słuchawkę, mówiąc sobie, że ta kobieta musiała ją źle zrozumieć.

I wtedy usłyszała głos swojego ojca, śpiewającego " Love Is in the Air".

- Proszę chwilę poczekać. Zdaje się, że właśnie wyszedł z łazienki.

Ale Sara nie miała zamiaru czekać. Z hukiem odłożyła słuchawkę i wpatrywała się w telefon, jak gdyby nagle zamiast niego zobaczyła jadowitą żmiję.

Czy naprawdę jej ojciec mógł mieć jakąś kobietę? Ale jak... ? Kiedy? I dlaczego?

No tak. Nic dziwnego, że tak usilnie namawiał ją na ten rejs. Pod jej nieobecność planował romantyczne przygody.

Czyżby przez wszystkie te lata zawadzała w życiu miłosnym własnego ojca? Spędzając z nim tak dużo czasu, skacząc koło niego po tym, jak pięć lat temu dostał lekkiego zawału? Faktem było, że nigdy nie przyszło jej do głowy, że jej tata może się po raz drugi ożenić. Byli sobie



tak bliscy, że z góry założyła, iż on nie potrzebuje niczego bardziej niż swojej kochającej córeczki. Jak mogła być tak bezmyślna i tak naiwna?

Sara schowała twarz w dłoniach.

Nie mogła zadzwonić do niego jeszcze raz, ryzykując, że wprawi go w zakłopotanie. Jeśli on sam nie powiedział jej o swojej romantycznej przygodzie, jeśli nie chciał, żeby wiedziała, nie mogła się przyznać, że odkryła jego sekret. Próbowwała zadzwonić do swoich przyjaciółek na statku, ale nie udało jej się połączyć. W jaki sposób, do diabła, miała wrócić do domu?

Kleopatra i Marilyn Monroe zapukały do drzwi kabiny. Harvey Donovan, który pozbył się już kostiumu Pepe Le Skunksa, wyjrzał przez dziurkę od klucza.

Wciąż był wściekły na Sarę za to, że zadała się z tym osiłkiem z Alaski, i marzył o zemście.

Marilyn i Kleopatra zapukały jeszcze raz. Uchylił drzwi.

- Hej, co się dzieje?

- Harvey, widziałeś gdzieś Sarę? - spytała Lizzy Magnason alias Kleopatra. - Szukamy jej, odkąd statek wyszedł z portu.

- Jest z tobą? - zapytała Kim.

- Aha.

- Możemy z nią porozmawiać?

Odwrócił się przez ramię, udając, że patrzy na łóżko.

- Śpi. Chyba jest trochę zmęczona.

- Więc w końcu coś z tego wyszło? - Lizzy uśmiechnęła się. - To fantastycznie. Ale obchodź się z nią łagodnie. Ona żyła pod kloszem.

- Nie martwcie się o Sarę. Będę ją traktował właściwie. I żebyście się nie dziwiły - postanowiliśmy spędzić resztę rejsu w mojej kabinie, z posiłkami włącznie. Jeśli rozumiecie, co mam na myśli.

- Jasne. Okej, pogadamy później.

Harvey zamknął drzwi i oparł się o nie plecami. Załatwione. Dopóki Lizzy i Kim myślą, że Sara jest z nim, nikt nie pozna prawdy. Niech sobie Sara trochę pokoczuje w Bear Creek jako Sexy Sadie, bez żadnych pieniędzy ani ubrania. To powinno nadętą pannę Stanhope czegoś nauczyć.

Drzwi jego sypialni były lekko uchylone. Jake zajrzał do środka i zobaczył, że Sadie siedzi na brzegu łóżka, patrząc nieruchomo w przestrzeń. Serce zaczęło bić mu szybciej.

Trzymał pod pachą stertę ubrań, które pożyczył od swojej przyszywanej siostry, Meggie Scofield. Meggie była świetną dziewczyną, na którą mógł liczyć zawsze i wszędzie. Kochał ją i jej starszego brata Quinna jakby byli jego prawdziwym rodzeństwem. Po tym, jak ojciec Jake'a zginął w wypadku na kutrze, a jego matka, pogrążona w rozpacz, zmarła na raka, Scofieldowie wzięli go do siebie i wychowywali jak własnego syna. Miał wobec nich dług wdzięczności, którego nie byłby w stanie spłacić do końca życia, bo bez Scofieldów - Jake miał tego pełną świadomość - skończyłby marnie.

- Puk, puk. - Wszedł do pokoju i położył ubrania na łóżku obok Sadie. Wydawała się nieobecna, przygnębiona i zupełnie nie przypominała tamtej przebojowej kobiety, u której stóp skamlał Pepe.

Domyślał się, skąd ta nagła zmiana. Konsekwencje pochopnej ucieczki ze statku musiały w końcu dotrzeć do jej świadomości. Przypływ

skruchy był uczuciem, które znał aż zbyt dobrze. Ileż to razy robił coś dla kaprysu, a potem żałował? Milion. A może więcej?

- Sadie?

- Słucham? - Uniosła głowę, wyraźnie zaskoczona.

- Przyniosłem ci jakieś ciuchy.

- Jak mnie nazwałeś?

- Ee... Sadie.

- Skąd wiesz, że to moje zdrobniałe imię? Tylko moja matka nazywała mnie tak w dzieciństwie, nikt inny do mnie tak nie mówi.

- Ale sama powiedziałaś, że tak masz na imię.

- Naprawdę? - Wyglądała na zmieszaną. - Dziwne.

- Więc jak mówi do ciebie większość ludzi?

- Sara.

- Okej. Jak chcesz, mogę nazywać cię Sara.

- Nie - powiedziała po chwili wahania. - Może być Sadie. Miło brzmi po tylu latach.

- Twoja matka przestała cię tak nazywać?

- Odeszła, kiedy miałam trzy lata, i wkrótce potem umarła.

- To przykre. Ja straciłem ojca w wieku dziesięciu lat a mamę dwa lata później.

- Przykro mi.

Patrzyli na siebie, dzieląc przez moment wspólne uczucie straty, ale Jake szybko się otrząsnął. Rozmawiając o nieprzyjemnych rzeczach, czuł się nieswojo.

- To było dawno temu.

Włożył rękę do kieszeni dzinsów i pogładził samorodek złota przyczepiony do kółka z jego kluczami. Podarował mu go ojciec przed swoją ostatnią tragiczną wyprawą na połów krabów królewskich.

- To będzie ci przypominało o twoim pochodzeniu - powiedział, podczas gdy matka stała obok, błagając, żeby nie wypływał w morze. Poławianie krabów królewskich było jednym z najbardziej niebezpiecznych zajęć na świecie, ale rewelacyjnie opłacalnym, a jego ojciec uwielbiał tę pracę. - Pamiętaj, że nazywasz się Gerard. W naszych żyłach płynie krew wielu pokoleń śmiazków i poszukiwaczy przygód. My nie pozwalamy, żeby cokolwiek stawało nam na drodze.

- Nawet miłość - powiedziała ze szlochem jego matka.

Ojciec czułym gestem położył dłoń na jej ramieniu.

- Gretchen, mężczyzna musi robić to, co należy do mężczyzny. Jake nie jest wyjątkiem. Posłuchaj mnie, synu. Twój dziadek był hazardzistą, który potrafił walczyć z niedźwiedziami grizzly, twój pradziadek pracował przy budowie kolei w strasznych warunkach. A twój prapradziadek przyjechał na Alaskę szukać złota. Znalazł ten samorodek, który od dzisiaj należy do ciebie. Będzie ci przypominał, że bez względu na wszystko musisz być wierny sobie. Jesteś jednym z Gerardów, chłopcze, miej swój honor.

To był ostatni raz, kiedy Jake widział swojego ojca, i odtąd robił wszystko, żeby okazać się godnym noszonego nazwiska.

Sadie westchnęła, szczęśliwie odrywając go od wspomnień.

- Słabo pamiętam moją matkę - powiedział nieobecny głosem. - Pachniała truskawkami i uwielbiała tańczyć. Szalała na punkcie „The

Baeties". „Sexy Sadie" była jej ulubiona piosenką. Pewnie stąd się wzięło zdrobnienie mojego imienia. A ty pamiętasz, jaka była twoja mama?

Poza tym, że ciągle mu mówiła, że nie powinien się nigdy ożenić?

Że złamałby serce jakiejś biednej dziewczynie przez to, że jest Gerardem?

Jake wolał oderwać Sadie od ponurego tematu nieżyjących rodziców.

- Dodzwoniłaś się tam, gdzie chciałaś?

- Nie. Co oznacza, że jestem chwilowo skazana na Bear Creek, naga i bosa.

- Fakt. - Uśmiechnął się. - Mogę ci jakoś pomóc?

- Potrzebuję pracy i jakiegoś kąta do spania. Nie wiesz, czy ktoś tu wynajmuje ludzi do pomocy?

- Trochę na to za późno. Sezon turystyczny kończy się za kilka tygodni.

- No tak...

On sam potrzebował pomocy, odkąd prosty bar z grillem zaczął przerabiać na prawdziwą restaurację z lnianymi obrusami, elegancką zastawą i wykwinnym jedzeniem. Ale czy proponowanie pracy kobiecie, która go tak pociągała, byłoby mądrym posunięciem?

Nie rób tego. Ona wpędzi cię w tarapaty. Jest striptizerką.

Striptizerką próbującą zacząć nowe życie. Sam miał wiele błędów na swoim koncie i szczerze wierzył, że każdemu dana jest druga szansa.

Kimże on był, żeby sądzić innych?

Pamiętasz swój ostatni nieszczęsny romans z Renny? Pamiętasz, dlaczego kupiłeś ten pomysł z ogłoszeniem matrymonialnym?

O tak. Pamiętał aż za dobrze. Po tym, jak Renny zrobiła z niego dumnia, nie przyznając się, że jest mężatką, doszedł do wniosku, iż ma powyżej uszu szybkich, rozrywkowych kobiet.

Czuł się jak komediowy gach, uciekając przez okno jej sypialni w spodniach opuszczonych do kostek, podczas gdy jej mąż taranował drzwi frontowe, pytając z wrzaskiem, czyj samochód stoi na podjeździe. Nigdy więcej.

- Wezmę każdą pracę-powiedziała błagalnie Sadie. - Sprzątanie, zmywanie naczyń, cokolwiek. Naprawdę potrzebuję pieniędzy.

Kiedy przygryzła dolną wargę i wpiła się w niego tymi wielkimi niebieskimi oczyma, Jake wiedział, że jest stracony.

Co z tego, że miała cudowne usta? Różowe, pełne, namiętne. Co z tego, że była damą w opałach, a on miał możliwości, żeby zostać jej rycerzem w lśniącej zbroi? Nie potrzebował następnych kłopotów.

- Cokolwiek - powtórzyła jak echo.

- Jesteś mężatką?

- Nie.

- Jesteś pewna?

- Absolutnie pewna. - Roześmiała się i zmarszczyła swój zgrabny nosek. - Co do tego, możesz się na mnie powoływać.

Miał się ustatkować. Miał szukać żony. Miał... ach, do diabła, nigdy nie był dobry w spełnianiu swoich pobożnych życzeń.

- Pracowałaś kiedyś jako kelnerka?

- Nie, ale szybko się uczę.

- Chciałabyś pracować w mojej restauracji?

Jej jasny, promienny uśmiech sprawił, że serce zmiękło mu jak wosk.

- Dziękuję. Jestem ci niezwykle wdzięczna. Kamień spadł mi z serca!  
Nim się zorientował, Sadie poderwała się z łóżka i rzuciła mu się na  
szyję.

No nie! Ta kobieta była naprawdę niebezpieczna. Odsunęła się i  
spojrzała mu w oczy.

- Został mi tylko jeden problem: muszę gdzieś mieszkać. Masz może  
jakiś pomysł?

Przypuszczał, o jaki „pomysł” jej chodzi. Po prostu powiedz „nie”!  
Nozdrza miał wypełnione jej zapachem, oczy syciły się jej  
widokiem. Wiedział, że to fatalny krok, ale pokusa była nie do odparcia.

- Możesz zostać tutaj, w moim pensjonacie.

Wspomnisz moje słowa, Gerard, będziesz gorzko żałował tej  
pochopnej decyzji.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Jak trudna może być praca kelnerki? Sara zadała sobie to pytanie następnego dnia rano. Skoro pomagała w prowadzeniu imperium octowego, nie powinna mieć specjalnych problemów z przenoszeniem jedzenia z kuchni do stolików.

Jasne, że nie, dodawała sobie odwagi, zawiązując tasiemki fartuszka. Faktem było, że nigdy nie pracowała poza rodzinną firmą. Studiowała, co prawda, w Instytucie Sztuki Kulinarnej w San Francisco i potrafiła zrobić genialny suflet czekoladowy, ale dobra kucharka nie musi być dobrą kelnerką.

Poradzisz sobie. Masz na nazwisko Stanhope.

Uniosła podbródek i przejrzała się w lustrze toalety. Włosy miała związane w swój zwykły koczek, białą bluzkę zapiętą pod szyję i ani śladu makijażu na twarzy. Nie z wyboru, lecz z konieczności. Wszystkie kosmetyki zostawiła na statku, a na nowe nie miała pieniędzy. Może to i lepiej, pomyślała. Wczoraj wieczorem Jake Gerard patrzył na nią maślanym wzrokiem, a była pewna, że bez prowokacyjnego kostiumu i tapety na twarzy zrobi na nim dużo mniejsze wrażenie.

I o to chodziło. Nie zamierzała jeszcze bardziej komplikować sobie życia, a Jake miał w sobie coś takiego...

Na samą myśl o nim ścisnęła ją w dołku. Ale to było całkiem przyjemne uczucie.

Daj spokój. To dlatego, że nazwał cię Sadie. Nie przenoś na niego swoich dziecięcych tęsknot.



A jednak nie mogła przestać o nim myśleć. Ten facet - z braku lepszego słowa - był jak marzenie. Miał takie gęste, błyszczące włosy, w które aż chciałoby się włożyć palce. I te piękne oczy! Ciepłe, inteligentne, uwodzicielskie. A dłonie...

Okej, Saro, dosyć. Facet jak z obrazka. I co z tego? Lepiej się nie rozczulaj. Wybij go sobie z głowy.

Łatwo powiedzieć, ale niełatwo wybić sobie z głowy takie uosobienie męskości, zwłaszcza gdy jest się z nim cały boży dzień w pracy, a w nocy śpi się w sąsiedniej sypialni.

Sara pokręciła głową. Za dużo się nasłuchiwała Lizzy i Kim. Dość tego. Musiała się zabrać do pracy. Umyła ręce, wyszła z łazienki i pewnie wkroczyła do sali restauracyjnej - gotowa, chętna i zdolna podjąć nowe wyzwanie.

Jake stał za barem, przygotowując zapas składników do koktajli na niedzielny brunch. Reszta jego personelu uwijała się jak w ukropie przed nadejściem pierwszych gości. Ledwie zauważał tę krzątanicę, ale gdy weszła Sara, zobaczył ją natychmiast - i na sekundę wstrzymał oddech.

Wyglądała jak uosobienie skromności. Nie miała nawet odrobiny makijażu, ale to tylko dodawało jej uroku. Bez tuszu na rzęsach jej duże niebieskie oczy wydawały się jeszcze większe.

I te usta!

- Co mam robić? - spytała. Przestań się gapić, głupku.

Odwrócił w końcu wzrok i rozejrzał się po sali.

- Mm... Sprawdź, czy na stołach nie brakuje soli albo pieprzu.

- Tak jest. - Skinęła głową z powagą żołnierza idącego na bitwę.

Jake odetchnął z ulgą, kiedy zniknęła mu z oczu. Ledwie skoncentrował się z powrotem na zajęciu, od którego go oderwała, przez boczne drzwi dla personelu wśliznął się Quinn.

- Cześć, stary.

Zobaczyli się po raz pierwszy od powrotu Quinna i Kay z podróży poślubnej. Jake wyszedł zza baru i poklepał Quinna po plecach.

- Cześć! Co u Kay? Jak było na Hawajach? Jak tam życie małżeńskie?

- Kay jest niesamowitą kobietą. - Rozanielony Quinn zmrużył lekko oczy. - Codziennie dziękuję opatrności za to, że ją spotkałem.

- Jesteście świetną parą - przyznał Jake z nutą zazdrości w głosie.

- Hawaje są fantastyczne, musisz się tam kiedyś wybrać. A jeśli chodzi o życie małżeńskie... - Oczy Quinna zaiskrzyły wymownie. - Wiem, że jesteś ekspertem od gorącego seksu, ale wierz mi, stary, naprawdę gorący seks jest dopiero wtedy, gdy kochasz się z tą jedną jedyną...

Dźwięk tłuczonego szkła przerwał im rozmowę. Jake odwrócił się do Sadie, która z przestraszoną miną wpatrywała się w podłogę, w to, co zostało z kryształowej solniczki.

Ich oczy się spotkały.

- A niech to - powiedziała i sypnęła szczyptą soli przez swoje lewe ramię.

- Nowa kelnerka? - Quinn uniósł brew. - Wygląda na to, że nie próżnujesz.

- Tylko nie wyciągaj pochopnych wniosków. Pogadamy o tym później.

- No to do zobaczenia później. - Quinn uniósł dłoń i wycofał się bocznymi drzwiami.

Jake wyjął z szafki szczotkę ze śmietniczką i podszedł do Sadie.

- Przepraszam - powiedziała, zbierając kawałki szkła. - Właściwie nie wiem, co się stało. To był moment... jakby mnie coś zamroczyło...

- Zostaw, ja to zrobię. - Przykucnął koło niej, siłą woli uspokajając swój oddech. - Nie chcę, żebyś pokaleczyła te piękne palce.

- Niech to szlag. To kryształ, prawda?

- Nie przejmuj się tym.

- Ja tu pracuję, tak? Jako kelnerka.

- Um... tak, ale... - Wydawało mu się, że czegoś nie rozumie.

- W porządku. Tak myślałam. Chcę, żebyś potrafił wartość tej solniczki z mojej wypłaty.

Jake przyglądał jej się, coraz bardziej skonsternowany. Przesłyszał się czy co? Zapomniała, że przyjął ją do pracy? Nieee. Musiał źle zrozumieć. Nikt nie może być aż tak stuknięty. Nawet striptizerka, która dała nogę ze statku wycieczkowego.

Wyciągnęła rękę po następny kawałek szkła w tym samym momencie, w którym on sięgnął po niego ze zmiotką. Otarli się dłońmi.

I nagle zapomniał o bożym świecie. Milczeli, przykucnięci tak blisko siebie, że ich usta dzieliły tylko centymetry. Sadie zamruwała. Miała zmieniony głos. Głębszy, bardziej prowokacyjny, jak wczoraj na przystani. I rumieńce na policzkach. Wyglądała na podnieconą.

Opanuj się, Gerard. Natychmiast.

Podniósł się, z okruchami szkła na śmietniczce, wskazując kciukiem kuchnię.

- Idę to wyrzucić. A ty rób dalej swoje.

- Miałam napełnić solniczki?

- Uhm.

Co się z nim działo? Dlaczego czuł się jak zamroczony? Dlaczego serce tłukło mu się w piersiach? Jake potrząsnął głową. To nie mogło tak trwać. Naprawdę miał zamiar się ożenić - jak tylko na dobre rozkręci interes. Restauracja była teraz najważniejsza i nie mógł pozwolić, żeby jakaś ładna buzia go rozpraszała.

Poszedł wyrzucić szkło, a przy okazji udobruchać swojego francuskiego szefa kuchni, Henriego Renaulta, który obraził się śmiertelnie o to, że Jake nie zamówił świeżego kopru do łososia. Kiedy zasugerował kuchmistrzowi, żeby użył suszonej przyprawy, niski, bruchaty mężczyzna zrobił minę, jakby chciał się rzucić na niego z nożem. Może ten facet i genialnie gotował, ale był chimeryczny jak gwiazda muzyki pop.

- Wnocha! Wnocha z mojej kuchni! - grzmiał Henri, pokazując palcem drzwi.

- W porządku, okej, już sobie idę.

Chcąc nie chcąc, znalazł się z powrotem na niebezpiecznym terytorium Sadie. Cholera. W swojej własnej restauracji zaczynał się czuć jak na polu minowym.

Hostessa wpuszczała już gości i widok tłumnej kolejki do bufetu podniósł Jake'a na duchu. Mimowolnie zaczął szukać wzrokiem Sadie. Wypatrzył swojego najlepszego przyjaciela Macka z jego narzeczoną, Cammie Jo, ale jego nowa pracownica zniknęła gdzieś bez śladu.

- Cześć, kochani. - Jake podszedł przywitać się z przyjaciółmi. - Jak leci?

- Fantastycznie. - Cammie Jo uśmiechnęła się. -Poznaliśmy twoją nową kelnerkę. Sadie jest urocza.

Urocza? Hm. Ta kobietą była prawdziwym utrapieniem. Tłukła solniczki, rozpraszała go w pracy, wymykała się nie wiadomo gdzie, zamiast obsługiwać stoły.

- I bardzo ładna. - Mack dał mu kuksańca w żebra. - Umów się z nią.

Ładna? Fakt. Ale nie miał zamiaru się z nią umawiać. Ładne i urocze utrapienie jest przede wszystkim utrapieniem.

- Nie wiecie przypadkiem, dokąd ona poszła?

- Wiemy. Była kompletnie spanikowana, bo nie miała kosmetyków do makijażu. Pożyczyłam jej swoje i poszła zrobić się na bóstwo.

- Aha.

- Spójrz. - Cammie Jo przechyliła głowę. - Właśnie idzie.

Jake'owi opadła szczeka. Zamiast koczka a la bibliotekarka miała burzę rudych kręconych włosów opadających na ramiona i plecy jak ognista lawa. Świadomy gest, jakim zanurzyła w tych włosach rękę, sprawił, że poziom jego testosteronu osiągnął stan alarmowy.

Rozpięła trzy górne guziki swojej białej bluzki i podwinęła pasek czarnej spódnicy, skracając ją - i odsłaniając nogi - bardziej, niż na to pozwalał dobry smak. Równie wyzywający był jej makijaż.

Ta kobieta doprowadzała go do szaleństwa. Zażenowany swoim podnieceniem, oddychał ciężko, patrząc, jak Sadie pewnie kroczy przez salę, absolutnie świadoma, że mężczyźni pożerają ją wzrokiem.

Och, Sexy Sadie. Co ona ze sobą zrobiła? Zupełnie nie mógł jej rozgryźć. W jednej chwili była naprawdę skromna i wyciszona, w następnej - zdrowo szurnięta. Kompletny odjazd!

Wiedział, że powinien mieć więcej sympatii do skromnej Sadie, tak podpowiadał mu rozum, ale nic nie mogło zmienić faktu, że seksualnie pociągała go ta druga.

Podeszła rozkołysanym krokiem i wręczyła Cammie Jo małą kosmetyczkę.

- Uratowałam mi życie.

- Nie ma sprawy. - Cammie Jo uśmiechnęła się. - Jak tylko będziesz czegoś potrzebowała, daj mi znać.

- Dzięki. - Sadie najbezcelniej w świecie puściła oko do Jake'a. - Lepiej wróć do pracy, zanim szef złoży mi pupę.

Oddaliła się tanecznym krokiem, kręcąc prowokacyjnie rzezoną pupą.

- No, no, ostra panienka - zakpił Mack. - Miej się na baczności, stary.

- Nie mów - burknął pod nosem Jake.

Życząc przyjaciołom smacznego brunchu, wrócił pospiesznie za bar, ale zamiast skupić się na pracy, bez przerwy śledził wzrokiem Sadie.

Ta kobieta była nieznośna. Flirtowała z mężczyznami, ale musiał przyznać, że równie łatwo oczarowywała damską klientelę. Udało jej się nawet zmusić do uśmiechu starego marudnego Gusa, recepcjonistę jego pensjonatu! Jake doszedł do wniosku, że gdyby bardzo chciała, z pewnością przekonałaby łososie, żeby zrezygnowały z tarła.

Dobrze, że nadrabiała urokiem osobistym, bo okazała się fatalną kelnerką. Ciągłe myliła zamówienia, gubiła kartki, na których je notowała, ale śmiała się tak słodko, tak czarowała, że nikt się na nią nie złościł.

Nikt oprócz Jake'a.

Dla niego była zmorą i utrapieniem. Za każdym razem, kiedy pochylała się, żeby dolać kawy do filiżanki, jego wzrok padał na jej bujny odkryty dekolt. Tak silnie działał na niego ten widok, że gdyby nie zasłaniał go do połowy bar, miałby się z pyszna. Próbował odwracać oczy od jej biustu, ale wtedy gapił się na jej długie, fantastycznie zgrabne nogi, które podniecały go równie bardzo.

Był jak w gorączce. Piekła go skóra, jakby przeleżał kilka godzin w pełnym tropikalnym słońcu. Czuł pieczenie w żołądku. Nie był w stanie zebrać myśli.

Źle z tobą, chłopie. Naprawdę źle.

Przydałby mu się zimny prysznic i uzdrawiająca dawka rozsądku, która uchroniłaby go przed zrobieniem czegoś naprawdę głupiego. Najgłupszą rzeczą byłoby pójść za głosem instynktu i umówić się z nią na randkę.

Sadie podeszła do baru z rozbrajającym uśmiechem. - Dwa razy Krwawy Harry.

- Krwawy Harry?

- Coś poplątałam, tak?

- Na to wychodzi.

- Zaczekaj. - Przygryzła dolną wargę. - Nie podpowiadaj mi. Dwie

Brudne Mary.

- Brudne Mary?

- Cholera. Znowu pudło.

- Chyba mieszają ci się drinki z tytułami filmów z Clintem Eastwoodem.

- Już wiem - pisnęła, z dumą kładąc dłoń na jego dłoni. - To miał być Brudny Harry. Dwa razy.

- Dwa razy Brudny Harry, już się robi - powiedział ochryłym głosem.

Zrobił dwie Krwawe Mary, mając nadzieję, że właśnie to zamówili goście. Dziwił się, swoją drogą, że kobieta, która występowała na statku wycieczkowym, nie znała popularnych koktajli.

Okej, może jest niezdarną kelnerką o kiepskiej pamięci. Ale to ciało...

Wciągnął głęboko powietrze i rozpaloną dłonią, której przed chwilą dotykała Sadie, przeciągnął po swojej twarzy. Cholera, co go opętało? Może wszystko przez to, że minęło, zaraz... osiem miesięcy, odkąd skończył z Renny. Osiem długich miesięcy bez seksu. Dla Jake'a to była wieczność:

- Wychodzę na chwilę - krzyknął do swojego barmana, Linca Crenshawa. Powiedział sobie, że idzie sprawdzić, co się dzieje w kuchni, ale tak naprawdę chciał uciec przed Sadie.

W kuchni było potwornie gorąco, a on potrzebował ochłonać, i to natychmiast. A komora chłodnicza zainstalowana w holu łączącym restaurację z pensjonatem? Świetny pomysł. To powinno ostudzić jego rozbuchane libido. Tylnymi kuchennymi drzwiami wyszedł na korytarz i pognął do pomieszczenia, w którym, miał nadzieję, dojdzie do siebie.



Uff. Westchnął z ulgą, kiedy owiało go zimne powietrze. Tak. Zimno jest tym, co najlepiej koi duszę Alaskanina. Przysiadł na skrzynce z mrożonymi kurczakami i wziął głęboki oddech. Nareszcie czuł, że wraca do równowagi. Ale co w niego wstąpiło? Sadie była tylko kobietą - niesamowicie atrakcyjną - ale jednak zwyczajną kobietą. Mógł się jej oprzeć. Musiał się jej oprzeć... No tak, w dzień będą razem pracowali, a w nocy będzie spała w sąsiednim pokoju, ale przecież nie zostanie tu na długo. Kobiety takie jak Sadie nigdzie nie zagrzewają miejsca.

Kiedy już mu się wydawało, że pozbierał się na tyle, żeby wrócić do sali restauracyjnej, otworzyły się drzwi i do środka wpadła Sadie.

A niech to wszyscy...

- Aaa! - krzyknęła, odwróciła się i rzuciła do drzwi. Jake usłyszał potężne „klik”, ale nie myślał o tym, bo był zbyt oszołomiony jej obecnością.

- Co się stało?

- Och. - Roześmiała się niepewnie. - Nie wiedziałam, że tu siedzisz. Potwornie mnie wystraszyłeś.

- Co ty tu robisz?

- Linc wysłał mnie po lody waniliowe. Ktoś zamówił koktajl mleczny.

- Sadie, do ciebie należy obsługa stolików, a nie bieganie na posyłki.

- Wiem, ale Linc miał w barze urwanie głowy. Wszyscy narzekali na swoje drinki. Widocznie jego Brudny Harry jest inny niż twój.

- Wyobrażam sobie.

- Wezmę te lody i wracam.

- Są ciężkie. Ja je zaniosę.

- Okej, dzięki. - Odwróciła się, żeby otworzyć drzwi komory, ale nic z tego. Pchnęła mocniej.

- Chyba się zacięły.

- Odsuń się. Ja spróbuję.

Pchnął z całej siły, używając swojego ciała jako tarana, ale drzwi nie ustępowały. Wtedy przypomniał sobie kliknięcie zamka. Cholera. Już dawno miał go naprawić, ale wypadło mu to z głowy. Uuu...

Najwidoczniej ona doszła do tego samego wniosku w tej samej chwili. Mówiły to jej oczy.

Byli zamknięci w komorze chłodniczej. Uwięzieni. Sami. Razem.

Po pięciu minutach walenia w drzwi i wzywania pomocy Jake musiał dać za wygraną. Odwrócił głowę, szukając źródła swoich frustracji, i zobaczył, że Sadie siedzi na tej samej skrzynce z mrożonymi kurczakami, którą on zwolnił, i macha rytmicznie nogami.

- Tracisz tylko siłę w płucach - zauważyła.

- I co z tego?

- Nie usłyszą nas z kuchni - przy ryczącym radiu i szczęku talerzy.

- A masz jakiś genialny pomysł, jak się stąd wydostać? W końcu to ty nas zamknęłaś.

- A jednak! Zastanawiałam się, ile ci to zajmie, żeby zwalić winę na mnie.

- Nie zwałam winy na ciebie.

Jake westchnął bezradnie i przeczesał włosy zmarzniętymi palcami. Wiedział od początku, że zamek w drzwiach komory jest wadliwy, więc całą winę ponosił on.

- Złośliwa uwaga, którą zrobiłeś przed chwilą, sugeruje co innego.
- Nie zrobiłem żadnej złośliwej uwagi.
- Owszem, zrobiłeś. Powiedziałeś, że to ja nas zamknęłam.
- Może po prostu czujesz się winna?
- A może celowo zatrzasnęłam drzwi? - Uśmiechnęła się

kokieteryjnie.

- Co?!

- Nie tak głośno. - Skrzywiła się i wtuliła uszy w ramiona

Okej, nie powinien być krzyknąć. To było nieładne. Ale czuł się tak...  
tak... jak? Zapędzony w kozi róg?

- Żartowałam. Jezu święty.

Odwzajemnił jej uśmiech, co miało oznaczać skruchę. Kiedy on się zrobił taki sztywny i taki potulny? Nie poznawał sam siebie. Jake Gerard nigdy nie robił uników, zawsze szedł na wymianę ciosów. Tak jak jego ojciec i dziadek, i pradziadek. Każdy mógł to potwierdzić. Był facetem na luzie. Niewiele go ruszało, nigdy nie tracił głowy.

Wielka sprawa, że był tu zamknięty z jakąś kobietą. To jeszcze nie koniec świata...

- Wiesz co - zauważyła dość sensownie - Linc nie może czekać w nieskończoność na te lody. Pewnie zaraz po nie przyjdzie.

- Masz rację.

Zapadło milczenie. Minęła jedna minuta. Potem dwie. Potem trzy.

Unikali nawzajem swojego wzroku. Jake dreptał w tę i we w tę po półtorametrowej powierzchni. Sadie nuciła coś pod nosem.

Krok, krok, zwrot. Krok, krok, zwrot.

Zerknął ukradkiem w jej stronę i zawadził okiem o odsłonięty dekolt. Perłowe guziczki były rozpięte aż do rąbka biustonosza. Gdyby przechylił trochę głowę, zobaczyłby kawałek prześwitującej koronki... W jaki sposób udało się tej kobiecie zrobić z prostej białej bluzki narzędzie seksualnej tortury?

Nagle dostrzegł, że Sadie drży.

- Jest ci zimno.

- Brawo, w szkole na pewno byłeś prymusem.

- A ty zawsze miałaś taki cięty język?

- Skarbie, jeszcze mnie nie znasz.

Może jej było zimno, ale Jake'owi ogień trawił wnętrzności. Gdzie, do cholery, był Linc?

Sadie szczykała zębami. Skuliła się i objęła ramionami.

- Chodź tutaj - powiedział.

- Cc-co?

- Chodź do mnie. - Otworzył ramiona. - Wykorzystamy ciepło naszych ciał.

- Myślałam, że nigdy na to nie wpadniesz. - Zeskoczyła ze skrzynki i rzuciła się prosto w jego objęcia.

Zamarł, skonsternowany, gdy dreszcz przeszył jego lędźwie. Ona z pewnością nie mogła pomylić jego podniecenia z niczym innym. Objęła go mocno i przytuliła się do jego torsu.

- Jak teraz? - spytał ochryplym głosem.

- Miło.

- Ciepłej?

- Jasne.

Dotykał policzkiem jej puszystych miedzianorudych włosów. Wziął głęboki oddech i jej słodki, kobiecy zapach uderzył mu do głowy. Poczuł się jak po tuzinie jej Brudnych Harrych: zamroczony, pijany, kompletnie oszołomiony, a najmocniejszym napojem, jaki pił od rana, był sok pomarańczowy.

Jake ostrożnie spojrział jej w oczy. A niech to wszyscy diabli. Błąd.

Te oczy, głębokie i błękitne jak ocean, kusiły go do samobójczego skoku.

Niech ktoś mi rzuci koło ratunkowe. Natychmiast.

Za późno.

Jej pełne, wilgotne usta wabiły go, namawiały do zapomnienia, że miał się ustatkować i znaleźć sobie żonę. Sprawiały, że chciał zapomnieć o całym świecie.

Spojrzał jeszcze raz w jej oczy i pochylił głowę.

Z jej ust wydobył się cichy pomruk zadowolenia.

To przekraczało granice jego silnej woli. Żaden mężczyzna z krwi i kości nie zniósłby więcej.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Och... O mój...

Jego ramiona opasały ją jak stalowa lina. Jego usta przywarły do jej ust. Jego dłonie zagarnęły jej pośladki. Upajała się jego siłą, jego ciepłem, jego niepowtarzalnym zapachem.

Pożerał ją, a ona z rozkoszą syciła jego głód.

Zatracili się w tym radosnym szaleństwie jak dwoje dzieci zostawionych samym sobie w sklepie z zabawkami. Zerknęła na niego kątem oka podczas pocałunku. Miał zamknięte oczy. Och, Jake był romantykiem. Serce zabiło jej szybciej.

Wyobrażała sobie ten pocałunek od kilku godzin, ale rzeczywistość przerosła jej najśmielsze marzenia. Czy kiedykolwiek w życiu całowała się z taką przyjemnością?

Sadie przeszukiwała zakamarki swojej pamięci, ale pomiędzy chłodem powietrza a żarem bijącym od ciała Jake'a i wilgotnym ciepłem jego ust nie było nic, o czym byłaby w stanie jasno myśleć.

Tak naprawdę, w ogóle nie była w stanie myśleć.

Zdarzały jej się krótkie wyłączenia świadomości, których zupełnie nie potrafiła wyjaśnić. Czyżby to pociąg do Jake'a złobił luki w jej pamięci? Czy napięcie seksualne mogło powodować jakieś zwarcie w systemie nerwowym?

Ciekawa teoria. Czyżby Jake był tak wyjątkowym okazem męskości, że każda kobieta mogła przy nim zapomnieć własne imię?

Skłonna była w to wierzyć.

Wyciągnęła jego koszulę zza paska spodni i wsunęła pod nią dłonie.

Komora chłodnicza nie była najlepszym miejscem do kochania się, ale co tam, Sexy Sadie była dziewczyną, która próbowała wszystkiego. Kiedy czegoś chciała, szła na całość. Żadnych zahamowań, żadnych wyrzutów sumienia ani dzielenia włosa na czworo. A ona chciała Jake'a Gerarda.

- Co ty robisz? - wychrypiał.

- Grzeję sobie ręce. - Kłamała i wiedzieli o tym oboje.

- Sadie...

- Tak?

- To chyba nie najlepszy pomysł, żebyś grzała ręce pod moją koszulą.

- Nie? Dlaczego?

- Bo mnie podniecasz.

- Naprawdę?

- Nie zgrywaj się. Dobrze wiesz, co ze mną robisz.

- A to coś złego?

- Tak?

- Dlaczego?

- Dlatego że nie możemy sobie na to pozwolić.

- Dlaczego nie?

- Po pierwsze, jesteśmy zamknięci w komorze chłodniczej w miejscu, w którym prowadzę biznes.

- To nie jest to, co cię najbardziej trapi.

- Nie.

- To po co chciałeś mnie ogrzać?

- Trzęsłaś się z zimna.

- A pocałowałaś mnie, bo... ?

- Błędna ocena sytuacji.

- Och. Rozumiem.

- Co rozumiesz?

- Uważasz, że striptizerka ze statku wycieczkowego nie jest wystarczająco dobra dla ambitnego restauratora.

- Przestań, Sadie, nigdy tego nie powiedziałem.

- Nie musiałeś.

- Mylisz się.

- Tak?

- Tak. Wierz mi, choć bardzo bym tego chciał, nie możemy sobie pozwolić na seks. Postanowiłem się ustatkować, Sadie. Ja potrzebuję żony.

- A ja nie jestem materiałem na żonę.

- Nie o to chodzi... naprawdę... ja po prostu potrzebuję kobiety, która...

- Da ci to, czego ja ci dać nie mogę.

Ze ściśniętym gardłem spojrzała w jego rozplomienione oczy. Był rozdarty pomiędzy fizycznym pragnieniem a swoimi potrzebami uczuciowymi. Nie mogła dać mu tego, czego potrzebował. Bez grosza przy duszy uciekła ze statku wycieczkowego. Nie wiedziała, co ze sobą zrobi i czego chce od życia. Na pewno nie była gotowa zostać czyjąś żoną.

- Daj spokój. To nie musi do niczego prowadzić. Nie możemy się sobą cieszyć tak po prostu, bez żadnych zobowiązań?

Zwilżyła językiem usta. Jake przygryzł dolną wargę, walcząc jeszcze ze sobą, ale wiedziała, że znów ją pocałuje. Czowała, jak słabnie w nim opór.



I uległby, gdyby nie to, że Linc, niestety albo na szczęście, zależy od punktu widzenia, wybrał ten moment, żeby otworzyć drzwi komory.

- Och! Przepraszam. Nie wiedziałem, że w czymś przeszkadzam - powiedział i cofnął się gwałtownie.

- Nie, zostań! - wrzasnął Jake i rzucił się do drzwi.

Jake patrzył na leżący przed nim stos faktur i próbował skoncentrować się na pracy. Po nieszczęsnym incydencie w komorze chłodniczej uciekł do pensjonatu pod pretekstem, że musi przejrzeć rachunki. To był zwykły unik, bo od pilnowania rachunków miał przecież księgową, ale chciał zająć się czymkolwiek z dala od Sadie.

O rany. O rany. Wpuścił się w niezły kanał. To... to coś, co czuł do Sadie, było... bezproduktywne.

Bezproduktywne? To jakby powiedzieć, że zimy arktyczne są nieco chłodne.

Spójrz prawdzie w oczy, Gerard, zbłądziłeś się.

Mimo całego zarzekania się, że „nigdy więcej”, nie wytrzymał i znów to zrobił. Zamiast myśleć głową, jak zwykle dał się ponieść pożądaniu.

Czy przez te trzydzieści lat życia niczego się nie nauczył?

Basta. Koniec, kropka. Koniec myślenia o Sexy Sadie.

Ale bicie się w piersi nie pomagało. Jake nie mógł przestać o niej myśleć. Siedział za biurkiem, rozpamiętując sekunda po sekundzie scenę z chłodni.

Dlaczego ją pocałował?

Ona nie jest tą jedną jedyną. Nie może nią być. Jest zbyt podobna do kobiet, z którymi zadawałeś się wcześniej. Jest zbyt podobna do ciebie.

Ta kobieta była wulkanem namiętności, a on jej po prostu pragnął, i tyle - nie miał zwyczaju oszukiwać samego siebie. Osiem miesięcy temu, zanim ze swoimi przyjaciółmi zamieścił ogłoszenie matrymonialne w "Metropolitanie", zanim podjął decyzję o ustatkowaniu się na dobre, kochałby się z Sadie w komorze chłodniczej, przysparzając chwały nazwisku Gerard.

Sadie była chętna. O, tak. Podobnie jak on, ale on skończył z zaspokajaniem swoich zachcianek. Lekkie, przygodne związki służyły mu w młodości, ale koniec z tym. Dojrzał do partnerstwa, prawdziwej miłości na dobre i na złe, jaką Quinn znalazł z Kay, a Mack z Cammie Jo.

Przyjaciele go przekonali, że jego matka była w błędzie. On też mógł znaleźć odpowiednią kobietę i żyć z nią długo i szczęśliwie.

Ale czy naprawdę mógł?

Może Sadie jest tą kobietą, podszeptował mu cichy wewnętrzny głos.

Jake prychnął. Kogo ty oszukujesz? Sadie jest nieprzewidywalna, impulsywna, zmienna. Jednego dnia jest tancerką na statku wycieczkowym, następnego daje nogę i zostaje kelnerką w Bear Creek. Kto wie, dokąd ją poniesie za tydzień?

Nie. Gdyby miał się ożenić, zrobiłby to z rozwagą, bez żadnej wpadki. Żadnej powtórki tragicznego małżeństwa jego rodziców.

Pierwszym krokiem w jego planach na przyszłość było przeobrażenie skromnego „Paradise” w czterogwiazdkowy pensjonat z restauracją, który z czasem -zauważony w przewodnikach turystycznych i telewizyjnych kanałach podróźniczych - przynosiłby mu dochody pozwalające utrzymać żonę i dzieci na poziomie godnym jego ambicji.

Wtedy zakochałby się w jakiejś miłej, przyzwoitej, rozsądnej kobiecie.

Usłyszał pukanie do drzwi.

- Proszę - powiedział i przez ułamek sekundy miał nadzieję, że w progu pojawi się Sadie.

Drzwi się otworzyły i do pokoju wpadł Caleb Greenleaf, rezydujący w miasteczku poeta i przyrodnik, który nie był ani trochę bliższy znalezienia żony niż Jake. Odkąd Quinn i Mack zakochali się szczęśliwie, Caleb i Jake trzymali się częściej razem, choć byli zupełnie inni. Caleb był spokojny, nieco ponury, rozważny, podczas gdy Jake kipiał energią, lubił się bawić, często szybciej działał, niż myślał.

- Hej. - Caleb opadł na krzesło po przeciwnej stronie biurka.

- Co słyszeć?

- Przyniosłem ci ostatnią porcję listów od spragnionych miłości kandydatek. Wszystkie są twoje. Ja odpuszczam.

- Żartujesz?

- Nie poznałem ani jednej kobiety, która by mnie zainteresowała.

- Ani jednej? - Jake natychmiast pomyślał o Sadie. - Ale przyjechały tu setki kobiet i dostaliśmy prawie tysiąc listów.

- Nic na to nie poradzę.

- Ciągle myślisz o tamtej, co?

- Jakiej tamtej?

- Nie udawaj głupiego. Mówię o kobiecie, która złamała ci serce, kiedy byłeś nastolatkiem. Nie mogę tylko zrozumieć, dlaczego żadnemu z nas nigdy nie powiedziałaś, jak ona miała na imię.

- Nie chodzi o nią.

- Jasne, możesz oszukiwać sam siebie.

- Więc chcesz te listy czy nie? - warknął Caleb, wyraźnie nie zamierzając podtrzymać tematu swojej utraconej miłości.

Jake zerknął na plik kopert. Na początku czytanie listów od kobiet chętnych do poślubienia kawalera z Alaski było ekscytujące, ale teraz nie miał najmniejszej ochoty ich otwierać. Tylko jedna kobieta zrobiła na nim wrażenie, i nie była to kobieta odpowiednia dla niego.

Więc przejrzyj te listy. Może jakaś inna wyda ci się godna uwagi.

Bez entuzjazmu zaczął wertować stos korespondencji, którą rzucił mu na biurko Caleb. Kiedy zobaczył kopertę z adresem zwrotnym redakcji przewodników „Yodor's Guidebook”, nadzieja wstąpiła mu w serce. Przypomniał sobie, że zostawił im ten sam numer skrytki pocztowej, który został podany w ogłoszeniu do „Metropolitana”.

Dobrze. To było to, na co czekał. Trzy tygodnie wcześniej napisał do redaktora naczelnego „Yodor's” z prośbą, żeby ocenili jego restaurację w swoim prestiżowym piśmie.

Serce zaczęło mu walić, kiedy wyjął z koperty list.

- Z czego się tak cieszysz? - spytał Caleb.

- Przyślą recenzentkę kulinarną, żeby oceniła, "Paradise Inn".

Przylatuje w piątek.

- Kobieta? - Caleb uśmiechnął się. - Masz te cztery gwiazdki jak w banku.

Piątek! Zostały mu trzy dni na przygotowanie się do najważniejszej chwili w jego życiu.

Kiedy układał w myślach listę rzeczy do zrobienia, jedna sprawa wydała mu się boleśnie oczywista. Sadie nie mogła obsługiwać

recenzentki, przyrządzać drinków, upuszczać solniczek ani nic w tym rodzaju.

Nie mógł nawet dopuścić do tego, żeby znajdowała się w tej samej okolicy co recenzentka. Biorąc po uwagę jej nieprzydatność jako kelnerki, a z drugiej strony niewiarygodną zdolność do rozpraszania jego uwagi, Jake miał tylko jedno wyjście.

Chcąc nie chcąc, żeby wypromować restaurację i osiągnąć swoje życiowe cele, musiał zwolnić Sadie.

- Ogłaszam otwarcie pierwszego posiedzenia Klubu Szalonych Dziewczyn z Miasta - zagaiła złotowłosa kobieta o urodzie Charlize Theron.

Sadie podeszła z herbatą i podłużnymi sandwiczami, które zamówiły blondynka i jej przyjaciółki. O wpół do czwartej po południu były jedynymi gośćmi w restauracji, a Sadie była jedyną kelnerką. Cała reszta personelu wyszła na przerwę.

Wszystkie trzy kobiety, z których jedna była przyjaciółką Jake'a o imieniu Cammie Jo, miały tak rozbawione miny, że Sadie zerkała na nie z zazdrością. Chętnie by się do nich przysiadła i wchłonęła trochę ich kipiącej energii.

- Proszę, wasze zamówienie.

Blondynka zmierzyła Sadie zaciekawionym wzrokiem.

- Jesteś tu nowa, prawda? - Wyciągnęła rękę i uśmiechnęła się ciepło. - Kay Scofield. Ja też jestem w Bear Creek od niedawna.

- I od niedawna jest mężatką - dodała Cammie Jo. - I genialną dziennikarką. To ona napisała o kawalerach z Bear Creek w "Metropolitarnie".

- Dzięki, Cammie Jo. - Kay zarumieniła się z wdziękiem.

- Poza tym jest z Nowego Jorku i została prezeską naszego świeżo założonego Klubu Szalonych Dziewczyn z Miasta - powiedziała trzecia kobieta, brunetka o figurze modelki. - Ja jestem Meggie Scofield, od niedawna szwagierka Kay. Pożyczyłam ci ciuchy.

- Och tak, dziękuję.

- Drobiazg. Może się do nas przysiądziesz? – Meggie wskazała jej wolne miejsce obok Cammie Jo. - Chcemy się zastanowić, w jaki sposób wprowadzić Bear Creek w nowe tysiąclecie - skoro tyle młodych kobiet przyjeżdża się tu osiedlić...

Sadie spojrzała przez ramię na pustą salę.

- Chyba nie powinnam. Podpadłam Jake'owi.

Podpadła? Delikatnie powiedziane! Stłukła już sześć talerzy, cztery spodki, trzy filiżanki i kryształową solniczkę. Poza tym doprowadziła do stanu załamania nerwowego tego drażliwego Francuza, kiedy kazała mu zrobić hot doga dla jakiegoś dziecka. Nawet nie mogłaby mieć żalu, gdyby Jake zdecydował się ją wyrzucić, choć nie miała pojęcia, dokąd by wtedy poszła.

- Jake jest gotów obedrzeć mnie ze skóry - przyznała się swoim nowym znajomym, siadając w boksie koło Cammie Jo.

- Jake? Mówimy o tym samym Jake'u? Jake'u Gerardzie? - Meggie zrobiła wielkie oczy.

- Uhm.

- Przecież on jest największym luzakiem pod słońcem! Jego się nie da wyprowadzić z równowagi.

- Och, zapewniam was, że mnie się to udaje.

- Zauważyłam, że Jake zachowuje się ostatnio inaczej - powiedziała Kay. - Odkąd kupił „Paradise”.

- To prawda - zgodziła się Cammie Jo. - Ciągłe powtarza Mackowi, że nie może się ożenić, dopóki nie rozkręci restauracji. Mack uważa, że on tą restauracją gra na zwłokę, bo po prostu obleciał go strach.

Sadie wstrzymała oddech.

- Jake zawsze miał skłonność do rozrywkowych kobiet - powiedziała Meggie. - Szukających łatwych przygód, a nie męża. To ma związek z jego dzieciństwem. On się boi, że nie stać go na wierność jednej kobiecie. Boi się, że ustabilizowane życie będzie ponure i nudne.

- Zaraz, zaraz - wtrąciła się Sadie. - Jeśli tak się boi, to po co dawał ogłoszenie matrymonialne? Po co się w to pakuje, jeśli monogamia jest sprzeczna z jego naturą?

- Po pierwsze, presja otoczenia - owczy pęd. Jake nie znosi zostawać w tyle. - Meggie pochyliła się i ściszyła głos. - Ale tak między nami, Jake jest miękkim, poczciwym facetem. Dorastaliśmy pod jednym dachem, więc trochę go znam.

- Naprawdę? - Sadie ożywiła się.

- Lubi udawać playboya, bo podobno wszyscy mężczyźni w jego rodzinie byli strasznymi twardzielami, ale to tylko poza.

- Mówisz serio?

- Całkiem serio. Jemu marzy się dom i własna rodzina, ale myśli, że się nie sprawdzi w normalnym związku. Jake nigdy się nie otrząsnął po stracie rodziców, i to na nim ciąży do dzisiaj. Będzie kiedyś bardzo dobrym mężem, o ile tylko upora się jakoś ze sobą i zrozumie, jak bardzo, tak naprawdę, chce być kochany.

Sadie ścisnęło się serce, gdy przypomniała sobie, jak Jake przytulał ją do piersi, ogrzewając własnym ciałem. Naprawdę robił to z uczuciem.

I z jakim uczuciem ją całował.

Westchnęła, rozmarzona, puszczając wodze wyobraźni. Ach, co by było, gdyby się kiedyś w przyszłości nie pohamowali...

Nie będziesz się kochała ze swoim szefem, Sadie Stanhope.

Wykluczone. Szukasz nowej drogi życiowej, a nie męża. Jake szuka żony i na pewno nie chce, żebyś pokrzyżowała mu plany.

Chyba że poprosiłby ją o rękę.

Na samą myśl o tym dostała gęziej skórki. Nie była gotowa wiązać się z kimkolwiek na stałe. Z jakichś powodów, których sama nie potrafiła sobie wytłumaczyć, czuła się tak, jakby dopiero teraz zaczęła żyć pełną piersią. Chciała wszystkiego posmakować, wszystkiego spróbować, chłonąć świat. Bycie żoną brzmiało mało ciekawie. Nawet gdyby miała wyjść za kogoś takiego jak Jake.

A jednak nie mogła pohamować wyobraźni i zastanawiała się, co by było, gdyby Linc nie zjawił się wtedy, kiedy się zjawił...

- Sadie?

Wzdrygnęła się i zobaczyła, że wszystkie trzy członkinie Klubu Szalonych Dziewczyn z Miasta wpatrują się w nią podejrzliwie.

- Tak?

- Czy ty przypadkiem nie czujesz czegoś do Jake'a?



## ROZDZIAŁ PIĄTY

- Sprawa wygląda tak... - zwrócił się Jake do swoich pracowników po zamknięciu restauracji. Kelnerzy, pomocnicy kelnerów, barmani, kucharze i jego renomowany szef kuchni siedzieli przy wielkim okrągłym stole, patrząc na niego w skupieniu. - W piątek przyjeżdża recenzentka kulinarna z „Yodor's”, żeby opisać „Paradise Inn”.

Grupa wzniosła chóralny okrzyk radości. Linc zagwizdał.

Jake jakby od niechcienia zerknął w stronę Sadie, ale nie nabrał jej. Pochwyciła jego wzrok i bezczelnie puściła oko, jakby dzielili jakiś sekret.

Boże, ta kobieta świadomie go prowokowała.

Cały dzień zwlekał z ogłoszeniem nowiny, głównie dlatego, że nie śpieszyło mu się do rozmowy z Sadie. Wiedział, jak cholernie trudno będzie mu patrzeć w te śmiejące się oczy i powiedzieć, że zwalnia ją z pracy za niekompetencję.

Przyznaj, że nie dlatego ją wylewasz. Gdyby chodziło tylko o przyjazd recenzentki, mógłbyś jej dać wolny piątek. Spójrz prawdzie w oczy. Panicznie się boisz, że jeśli ona zostanie tu na dłużej, nie będziesz w stanie oprzeć się pokusie.

- Zebrałem was, żeby to uczcić. - Oderwał wzrok od Sadie i kiwnął brodą na chłodzące się w kubelkach z lodem butelki szampana. - Ale to jest też narada wojenna. Piątkowa kolacja musi wypaść bezbłędnie i od was wszystkich, bez wyjątku, zależy nasz sukces.

- Oczywiście to ja - odezwał się Henri - jezdem najważniejszą częścią twojego sukcesu. - To z mojego powodu ta recenzentka

przyjedzie do takiego miejsca jak to. - Machnął pogardliwie ręką na salę restauracyjną.

To jego powinieneś stąd wyrzucić.

Tylko że nie mógł go wyrzucić. Arogancki szef kuchni - który kosztował Jake'a fortunę - miał rację co do jednego. Jego reputacja mistrza sztuki kulinarnej była jedynym powodem, dla którego „Yodor's” zgodził się przysłać swoją recenzentkę do Bear Creek.

Jake wziął Francuza pod włos, wychwalając pod niebiosa jego talent, i przez następne pół godziny omawiał strategię przygotowania popisowej kolacji z doskonałym menu i doskonałą obsługą.

Sadie podniosła rękę, domagając się głosu. Próbował ją zignorować, ale dotąd wierciła się na krześle, aż dał za wygraną.

- Tak, Sadie, chciałaś coś powiedzieć?

- Wiem, że nie mam zbyt długiego doświadczenia w tej pracy...

- Jednodniowe - prychnął lekceważąco Henri.

- Właśnie. - Posłała szefowi promienny uśmiech, który go na chwilę poskromił. - Ale myślę, że popełnicie błąd, nadskakując tylko jednemu VLP-owi.

- Słucham... ?

- Wszystkich gości powinniście traktować tak, jakby byli VIP-ami.

- Cha! - wykrzyknął Henri. - Jakby ci zwariowani Alaskanie potrafili odróżnić chateaubriand od sera limburskiego.

Wszyscy jak jeden mąż spojrzeli na szefa kuchni, który nagle zdał sobie sprawę, że trochę się zagalopował. Jak by nie było, pracował z Alaskanami.

- Sadie ma rację - powiedział Jake. - Powinniśmy zachowywać ten sam standard wobec wszystkich gości. Doskonałe jedzenie za doskonałą cenę z doskonałą obsługą..

- Hm - burknął szef. - Oztrzegam cię. Jeżeli jedna osoba zamówi hot doga z ziemniaczanymi chipzami, ja wychodzę i wtedy zobaczymy, czy tutejsi ludzie są naprawdę VIP-ami.

- Dziękuję, Henri, że podzieliłeś się z nami swoimi odczuciami. Obiecuję, że nikt nie będzie zamawiał hot dogów ani chipsów - powiedział Jake.

Oczywiście gryzł się w język do bólu, żeby nie wygarnąć mu, co naprawdę myśli, ale utrzymanie kucharza w dobrym nastroju warte było każdego wysiłku. Bez szefa kuchni byłaby totalna klapa, i obaj zdawali sobie z tego sprawę.

- Wypijmy za sukces „Paradise Inn”.

Wystrzeliły korki. Toasty zostały wzniesione. Wszyscy pili szampana, rozmawiali i zrobiło się całkiem miło. Nawet Henri po kilku łykach przestał stroić fochy. Jake wysłał ludzi do domów z obietnicą urządzenia wielkiej fety, jeśli piątkowy wieczór przebiegnie bez zgrzytów.

Zostało mu tylko jedno najtrudniejsze zadanie. Pozbyć się Sadie.

- Mogłabyś zostać na chwilę? - Położył rękę na jej ramieniu, kiedy wszyscy ruszyli do wyjścia. - Muszę z tobą porozmawiać w cztery oczy.

- W cztery oczy? - Błysk podniecenia rozświetlił jej twarz.

- Tak.

- Jasne! Mam kilka dobrych pomysłów. Pomyślałam na przykład, że może zastąpiłbyś na wieczór oświetlenie elektryczne świecami i...

- Usiądź.

Podsunał jej krzesło i poczekał, aż ostatni pracownik odjedzie z parkingu. Potem odwrócił swoje krzesło i usiadł naprzeciwko niej okrakiem, przodem do oparcia.

- To niesamowita sprawa! Pomyśl tylko, dobra recenzja w „Yodor's” może przyciągnąć do Bear Creek i twojej restauracji mnóstwo turystów!

- Mam taką nadzieję.

- Nawet nie wiesz, jaki to dla mnie zaszczyt, że mogę w tym uczestniczyć.

- Sadie... - Spojrzał jej w oczy. Nie był tchórzem. W wieku trzynastu lat wykonał więcej karkołomnych numerów niż większość ludzi w całym swoim życiu, ale powiedzieć Sadie, że zwalnia ją z pracy, było o wiele trudniejszym zadaniem, niż się spodziewał.

- Uhm.

- Zauważyłem... yyy... że masz pewne trudności z notowaniem zamówień.

- Ale wieczorem szło mi już lepiej.

- Wiem.

- Chciałeś mi powiedzieć coś innego, prawda?

- Posłuchaj...

- Jeśli to dotyczy tego, co wydarzyło się rano w chłodni... - zaczęła mówić równocześnie z nim.

- Mów dalej. - Przechylił na bok głowę.

- Nie, najpierw ty.

- Damy mają pierwszeństwo, nalegam.

- W takim razie głos należy do ciebie. - Uśmiechnęła się. - Ja rzadko zgrywam damę.

- Proszę, powiedz, co miałaś do powiedzenia.

- Po prostu chciałam ci podziękować za to, że zaryzykowałeś, dając mi tę pracę. Naprawdę jestem ci bardzo wdzięczna.

- Um... nie ma za co.

Dlaczego przeciągał sprawę? Dlaczego nie mógł powiedzieć jej wprost, że się nie nadawała do tej roboty. i że ich umowa jest nieaktualna?

- Wiem, że rano popełniłam kilka błędów, ale naprawdę bardzo się staram.

- Sadie...

- Zobaczysz, Jake, że cię nie zawiodę. Nie wiem, co bym zrobiła, gdybyś nie zaproponował mi tej pracy. Byłam w rozpaczliwej sytuacji.

O Boże. Jak mógł ją teraz wyrzucić? Z drugiej strony, jak mógł tego nie zrobić?

- Lubię ludzi, którzy tu mieszkają, i możesz mi wierzyć lub nie, ale uwielbiam kelnerowanie, chociaż to nie jest oczywiście moja mocna strona. Przepraszam za to, co się wydarzyło między nami rano, i przysięgam, że to się nigdy nie powtórzy. Wiem, że to wbrew zasadom obowiązującym w pracy.

Dalej, skończ z tym wreszcie i rozmów się z nią.

- A co ty mi chciałeś powiedzieć? No właśnie, co?

- U mm, zrealizowałaś gdzieś czek, który ci dałem?

- Tak, dziękuję ci bardzo.

- Nie ma sprawy.

- Byłam już nawet na zakupach. Zobaczyłam bieliznę na wyprzedaży i kupiłam sobie stringi w najróżniejszych kolorach - szczebiotała radośnie.

Oczywiście wyobraźni zobaczył tę jej małą zgrabną pupę w ledwie widocznych stringach, i podniecony jak diabeł, dał się ponieść fantazji: może miała przekłuty pepek i nosiła tam złote kółko...

Przestań, opanuj się.

- I jeszcze biały koronkowy stanik i różową pidżamę, wiesz, taki kombinezon jak dla dzieci...

- Sadie...

- Tak? - Rozpłynęła się w uśmiechu.

- Czy mogłabyś mi już nie opowiadać o swojej bieliźnie?

- Och, jasne. To wbrew zasadom.

- Właśnie.

- Zapomniałam się. W występach wodewilowych bielizna była naszym kostiumem, to pewnie dlatego...

- Nie jesteś na statku.

- Przepraszam.

Jej przepraszający uśmiech był najzupełniej szczery. Po prostu nie miała pojęcia, jak na niego działa.

- W porządku. Ale na przyszłość uważaj.

- Chciałeś mi powiedzieć coś więcej?

Kiedy tak patrzyła mu prosto w oczy, czuł, że coś niebezpiecznego wzbiera w jego sercu. Mógłby się w niej naprawdę zakochać, gdyby sobie na to pozwolił.

Ale nie miał zamiaru sobie pozwolić, mimo że nie zdobył się na to, żeby ją wyrzucić.

- Nie, nic więcej.

- Może wzniesiemy nasz prywatny toast? A potem pomogę ci umyć te brudne kieliszki.

Powinien powiedzieć nie. Nie tylko „nie”, ale „nie, do jasnej cholery”.

- Świetny pomysł. Głupek!

Nalała szampana, podała mu kieliszek i podniosła swój do toastu.

- Za „Paradise Inn”. Niech odniesie sukces, który przerośnie twoje najśmielsze marzenia.

- Za „Paradise Inn”.

Stuknęli się lekko kieliszkami. Sadie podniosła swój do ust.

Do swoich pulchnych, zmysłowych, czerwonych ust. Jake nie mógł oderwać od nich oczu. Pożerał głodnym wzrokiem zwilżone szampanem wargi. Zachichotała i uniosła jeszcze raz kieliszek.

- Za najlepszego szefa pod słońcem.

- Nie mogę za to wypić. Nie jestem najlepszym szefem.

- Och tak, jesteś.

Kiedy stuknęła kieliszkiem o jego kieliszek, odrobina szampana wylała się na jego dłoń.

- Ups.

Zanim się spostrzegł, Sadie pochyliła głowę i zlizwała płyn z jego skóry.

- Sadie, co ty robisz? - syknął przez zaciśnięte zęby.

- Jak to co, sprzątam po sobie bałagan - powiedziała z łobuzerskim, trochę krzywym uśmiechem.

Wtedy się zorientował, że jest wstawiona.

Dziwne, wypila najwyzej kieliszek szampana. Spodziewalby sie mocniejszej glowy po striptizerce, ale niektorzy ludzie sa wyjatkowo podatni na dzialanie szampana.

- Skarbie... - zaczal, ale nie zdoal wydusic nic wiecej.

Przebiegla jezykiem od jego nadgarstka po lokiec. Zdrętwial. Dreszcz przyjemnosci przeszył go na wskros.

To bylo ponad jego wytrzymalosc. Probował z calych sil byc odpowiedzialny. Obiecal przyjaciolom, ze w stosunkach z kobietami bedzie sie kierowal rozumem, ale widać byl slabym, bardzo slabym czlowiekiem.

Zupelnie przestal myslec, gdy Sadie pochyliła sie na krzesle i musnela ustami jego usta. Mialy smak szampana, magii i szatanskiej pokusy.

Ogluchl na wszystkie dzwonki alarmowe, na swój wewnetrzny głos rozsądku wzywajacy go do opamiętania. Jego gorsze ja chichotalo ze zlosliwa satysfakcja.

Taak, ty rozpustniku. A juz myslalem, ze stracilem cie na zawsze przez to ogłoszenie w "Metropolitanie".

Kiedy skubnela zebami jego dolna warge, jeknal gardlowo. Ujal w dlonie jej twarz i wsliznal palce w cieple wlosy. Caly dzien swierzbiły go ręce, zeby dotknac tej masy lśniacych, jedwabistych loków w kolorze lisiej sierści.

Jej slodki smak, teraz lekko cierpki po szampanie, wpełnil mu usta. Ile czasu minelo od ich pierwszego pocałunku? Godziny? Dni? Wiecznosc? Mial wrazenie, ze wiecznosc.



Więcej. Chciał więcej. Choć wiedział, że nie powinien tego robić, przylgnął zachłannie do jej półotwartych ust. Usłyszał jej westchnienie rozkoszy i poczuł się jak zamroczony.

- Jesteś pyszny - wymruczała.

Odsunął się trochę i spojrzał w jej rozplomienione oczy. Co się z nim działo? Miał wrażenie, jakby ta kobieta rzuciła na niego jakiś urok.

Nie powinien w to dalej brnąć, ale po prostu nie mógł się powstrzymać. Ona była jak narkotyk. Całował jej powieki i rzęsy. Błądził ustami po jej nieskazitelnie gładkiej, delikatnej twarzy. Miał nieodparte pragnienie, żeby poznać każdy milimetr jej ciała, i wiedział, że to pragnienie jest wzajemne. Sadie jedną ręką gładziła jego ramię, drugą delikatnie przyciągała głowę - prosząc o jego usta.

Wzbierające w nim pożądanie przerwało tamę. Jake jęknął i poddał się, całując ją długo i namiętnie, aż obojgu zabrakło tchu. Dzielili ich oparcie cholernego krzesła. Chciał czuć jej ciało przy swoim, rozkoszować się nią całą, bez żadnych przeszkód.

Rękami nakłonił ją do wstania, obrócił się na krześle plecami do oparcia i przyciągnął ją na swoje kolana.

Musiała poczuć dowód jego podniecenia, bo otworzyła szerzej oczy i uśmiechnęła się, jakby znalazła klucz do skarbcza. Zamruczała jak kotka i przeciągnęła językiem po jego wargach.

Uwielbiał śmiałe, namiętne kobiety, ale jeszcze żadna nie działała na niego tak jak Sadie. Wierciła się na jego kolanach, doprowadzając go do szaleństwa. W końcu niemal jednym ruchem zdarła z niego koszulę, odrywając guziki. Jake z trudem łapał powietrze. Po raz pierwszy kobieta zrywała z niego ubranie.

Wtulala się w niego rozpaczliwie, ocierając biustem o jego nagi tors. Słyszał jej ciężki, urywany oddech. Powoli zaczął rozpinać guziki jej bluzki, tak jak marzył, żeby to zrobić, przez cały długi dzień. Zsunął bluzkę z jej ramion, odsłaniając biały koronkowy biustonosz. To był biustonosz z jego erotycznych fantazji, które od rana kusily go, dręczyły, nie dawały mu spokoju.

Uff... Podniecony do granic wytrzymałości, zamknął oczy i nieopatrznie odchylił się z krzesłem do tyłu. Mając obie stopy nad podłogą, zaczął wywijać rękami, starając się uchronić ich oboje przed upadkiem.

Jasny szlag. W ostatniej chwili próbował uchwycić się stołu, ale był za daleko.

Łup. Krzesło runęło na ziemię. Na szczęście przygotował się na upadek i nie uderzył głową o podłogę. Ale leżał jak długi na plecach, Sadie na nim, z kolanami przy obu jego bokach. Uśmiechnięta.

- Dobrze się czujesz?

- Dużo lepiej niż dobrze - powiedziała z chichotem, patrząc mu głęboko w oczy.

- Jesteś wstawiona.

- Żartujesz. Wypiłam tylko jeden kieliszek szampana.

- Widocznie wystarczy ci jeden. Dostała czkawki.

- Może masz rację. Więc na czym to skończyliśmy? - Pochyliła się, żeby go pocałować.

- Nie, Sadie, dosyć tego. Wstajemy.

- Dlaczego? Niewygodnie ci?

- Nie za bardzo.

- No dobrze, trudno.

Gdy oboje wstali z podłogi, Jake swoją sfatygowaną koszulą bez guzików zasłonił tors przed jej głodnym wzrokiem.

- Posłuchaj, Sadie. Nie winię cię za to, co się stało, ale to nie powinno było się stać. Trochę mnie poniosło.

- Chciałam, żeby cię poniosło.

- Mniejsza o to. Nie powinienem być tu sam na sam z tobą. Nie powinniśmy byli pić szampana.

- Nie powinniśmy, nie powinniśmy. - Zrobiła odętą minę. -

Zaczynam myśleć, że w tych wszystkich plotkach, które słyszałam na twój temat, nie ma ani krzty prawdy.

- Jakich plotkach?

- Że jesteś bardzo zabawową bestią.

- Jestem. To znaczy bytem, ale próbuję zostawić ten etap swojego życia za sobą.

- Ale dlaczego?

- Sadie, nie mam zamiaru cię wykorzystać.

- Nawet jeśli ja tego chcę? - Zatrzepotała rzęsami.

- Tak ci zdaje po szampanie. Jutro będziesz czuła inaczej.

- Nie wydaje mi się.

- Zrozum, jesteś wspaniałą kobietą i bardzo cię lubię. Ale prawda jest taka, że dojrzałem do małżeństwa. A tobie chodzi o coś zupełnie innego.

- Co? - Sadie zrobiła wielkie oczy. - Powiedziałeś „małżeństwa”?

Powtórzył dokładnie.

- O Boże. - Z przerażoną miną spojrzała w dół na siebie i zakryła dłonią usta. - Co my robiliśmy?

- Nie przejmuj się. Nic takiego się nie stało.

- Może dla ciebie - powiedziała, chwytając bluzkę, którą Jake, podczas ich porywu namiętności cisnął na kubełek po szampanie. - Ale ja nie mam zwyczaju rozbierać się przed ludźmi.

To wszystko nie trzymało się kupy. Była striptizerką i zawodowo rozbierała się przed ludźmi. Przyglądał się jej z niedowierzaniem.

- A ty? Co się stało z guzikami twojej koszuli? - spytała w popłochu, nie zauważając, że zakłada bluzkę na lewą stronę.

- Ty je oderwałaś. - Pokazał jej rozrzucone po podłodze guziki.

- Ja... ?

- Nie pamiętasz?

- Ja... ja... ja...

Wyglądało na to, że za chwilę wybuchnie płaczem. Jake sposepniał. O co tu chodziło? W kilka sekund zmieniała się nie do poznania. Z kobiety wampa w przerażoną skromniśnię. Wesoło wstawiona, nagle robiła się trzeźwa jak diabli, a przecież nikt nie trzeźwieje tak szybko.

Spłonęła rumieńcem, wyraźnie zszokowana swoim zachowaniem. Kac moralny?

Może miała jakąś dziwną alergię na alkohol. Słyszał o takich rzeczach, ale nie bardzo wiedział, na czym polegają objawy. Może z powodu alergii szybko się upijała, trzeźwiała jeszcze szybciej i zapomniała wszystko, co się zdarzyło, podczas gdy była pod wpływem alkoholu.

- Muszę iść. - Wytrącona z równowagi, drżącymi rękami próbowała zapiąć bluzkę.

- Włożyłaś bluzkę na lewą stronę.

- Wiem - warknęła.

- To dlaczego jej nie przełożysz?
- Bo nie chcę, żebyś jeszcze raz oglądał mnie naga.
- Nie widziałem cię nagiej.
- Prawie, i to wystarczy.
- Nie masz powodu do wstydu. Nie zrobiłaś nic złego.
- Nie?
- Nie.
- Jesteś pewien?
- Na sto procent.
- Uff, całe szczęście. Myślałam, że zrobiłam z siebie kretynekę.
- Nie, skądże. - Ale zaczął się zastanawiać, czy przebiegła Sadie naprawdę była tak zawstydzona, jak na to wyglądało, czy raczej robiła z niego kretyna.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Rano Sara obudziła się z obolałą głową i wielkim ciężarem na sercu. Coś było nie tak. Działo się coś bardzo, bardzo niedobrego, a ona nie miała pojęcia, jak temu zaradzić.

Skąd się brały te dziwne luki w jej pamięci? Co to miało znaczyć? Czyżby była na najlepszej drodze do wylądowania w domu wariatów?

Wszystko wskazywało na to, że podczas tych - z braku lepszego słowa - zaćmień umysłu jej zachowanie było karygodne. Na przykład zdejmowanie bluzki i obłapianie się ze swoim szefem.

Wzdrygnęła się. Jak ona mu teraz spojrzy w oczy? W jaki sposób wytłumaczy stan swojej podświadomości, żeby nie pomyślał, że całkiem zbzikowała?

Po prostu idź do pracy, rób swoje i unikaj wpadek. Przetrwaj dzień. Pod koniec tygodnia będziesz miała wystarczająco dużo pieniędzy, żeby zarezerwować bilet lotniczy do domu.

Pod warunkiem, że jej nieobliczalne alter ego nie wyda tych pieniędzy na wulgarną bieliznę.

Z przykurczonymi ramionami poszła do restauracji przepowiadając sobie w myślach, co powie Jake'owi. Kiedy dowiedziała się, że poleciał w interesach do Juneau, poczuła jednocześnie ulgę i rozczarowanie.

Przez całe przedpołudnie wszyscy w pracy dziwili się, że jest taka spokojna. Gdzie się podział ten łobuzerski uśmiech Sadie? - pytali, wprawiając ją w zakłopotanie. Najwyraźniej lubili tę bardziej szaloną stronę jej natury. Tę, której nie pamiętała.

Do czasu, kiedy późnym popołudniem wrócił Jake, Sadie osiągnęła stan desperacji.

- Możemy porozmawiać na osobności? - spytała, gotowa bez względu na wszystko zapytać go o poprzedni wieczór, choć panicznie się bała tego, co usłyszy.

- Spotkajmy się na zewnątrz za dziesięć minut.

Sara wyszła na przerwę i drepcząc po parkingu, przepowiadała sobie pod nosem swoją przemowę. Nie usłyszała jego kroków.

Kiedy dotknął jej ramienia, podskoczyła jak oparzona.

- Przepraszam, nie chciałem cię przestraszyć.

- To nie twoja wina.

- Upięłaś włosy. - Wyciągnął rękę, żeby ich dotknąć, ale cofnęła się gwałtownie.

- Tak.

- I masz bluzkę zapiętą na ostatni guzik.

- Myślę, że to wygląda bardziej profesjonalnie.

- Profesjonalnie. - Kiwnął głową. - Rzeczywiście. To wygląda profesjonalnie.

- I godniej. - Poklepała swój koczek, sprawdzając, czy nie wysunął się jakiś kosmyk.

- Bardzo godnie, fakt. - Wcisnął ręce w kieszenie i zapatrzył się w piękne niebieskie góry rysujące się w oddali.

Uświadomiła sobie wtedy, że Jake jest równie zdenerwowany jak ona. Na samą myśl o tym, co, być może, robiła poprzedniego wieczoru, krew odpłynęła jej z twarzy.

- Chciałaś mnie o coś spytać? - ponaglił ją po długiej chwili milczenia.

- Eee... Tak.

Dalej, Saro. Dostatecznie długo prowadzisz rodzinną firmę, żeby wiedzieć, że lepiej jest mówić wprost, o co chodzi, niż owijać w bawełnę.

- Słucham. - Skrzyżował ramiona na piersi i czekał.

- To trochę krępujące...

- Ze mną nie musisz się niczego wstydzisz, Sadie. Znów to samo. To imię, które w dzieciństwie słyszała tylko z ust swojej matki. Imię, którego nigdy nie używał jej ojciec, bo przypominało mu jego nieodpowiedzialną żonę. Imię, z którego znali ją wszyscy w Bear Creek. Imię, które w ustach Jake'a brzmiało kojąco i melodyjnie. Imię, które sprawiało, że czuła się seksowna, pełna życia i trochę szalona.

Kochała to imię, a jednocześnie go nienawidziła. Wzięła szybki oddech.

- Dobrze. Jeśli chodzi o wczorajszy wieczór...

- Tak?

- Mam kłopot z przypomnieniem sobie, co się dokładnie wydarzyło.

- Nie wypijałaś tak dużo.

- A jednak nie pamiętam szczegółów. Czy my... czy ty... jak daleko się posunęliśmy?

- Nic się nie wydarzyło.

- Nic? Zupełnie nic?

- No wiesz, coś tam, ale to nie jest takie ważne.

- Co? Muszę wiedzieć.

- Nie róbmy z tego wielkiej sprawy.



- Co!

- Okej, w porządku. Niewiele brakowało, a zaczęlibyśmy się kochać, ale to wyłącznie moja wina. Tobie uderzył do głowy szampan, mnie - wiadomość, że moja restauracja będzie opisana w „Yodor's”. Na szczęście zwyciężył zdrowy rozsądek.

- Na szczęście.

- Nie martw się. - Uniósł otwarte dłonie. - To się nie powtórzy.

- Nie. - To miało być stwierdzenie, ale zabrzmiało dziwnie pytająco.

Nie chciała powtórki wczorajszego przedstawienia.

Czy aby na pewno?

- Sadie, ty nie udajesz takiej opanowanej i powściągliwej przez to, co powiedziałem ci wczoraj, prawda?

Co powiedział wczoraj? Nie pamiętała.

- Nie bardzo rozumiem.

- Przestań się wygłupiać.

- O czym ty mówisz?

- Koczek babuni, bluzka zapięta pod szyję, sztywna poza. Nic z tego nie będzie. Jeśli zgrywasz skromni się po to, żeby zwabić mnie do łóżka na gorący seks, wybrałaś zły adres.

- Gorący seks?

- Nie ma sensu udawać, że jesteś kimś innym niż jesteś, tylko po to, żeby złowić mnie w sidła.

Jake przyłożył dwa palce do skroni i patrzył na Sadie z mieszaniną zdumienia i pożądania. Nie mógł uwierzyć, do czego jest zdolna. Nawet w przyzwoitej długości spódnicy, tuż ponad kolano, i z tym kopcem rudych włosów bezpiecznie zakotwiczonych na głowie, i z ledwie widocznym

makijażem zamiast swojej zwykłej tapety, była niewiarygodnie pociągająca.

- Och, tak myślisz?

- Właśnie tak.

- Misiu... - Parsknęła szyderczo. - Gdybym próbowała cię uwieść, na pewno byś o tym wiedział;

Co powiedziawszy, odwróciła się na pięcie i odeszła.

Albo to była jego wyobraźnia, albo kołysała biodrami z większym wigorem niż zwykle. Ta kobieta naprawdę doprowadzała go do szaleństwa. Pragnął jej tak bardzo, że nie był w stanie trzeźwo myśleć. Nie miała w sobie nic z jego ideału żony. Byliby koszmarnym małżeństwem. Oboje zbyt impulsywni i spontaniczni. Ale w łóżku... Jezu, wyobrażał sobie ten ogień.

Dosyć miałeś tego ognia w swoim życiu, Gerard. Pora ochłonać.

Przez resztę tygodnia Jake trzymał się z dala od Sadie, koncentrując się na przygotowaniach do wizyty recenzentki kulinarnej.

Recenzentka, niejaka Penelope Snidely, zjawiła się w pensjonacie w piątek rano i okazała się chudą jak szczapa kobietą po czterdziestce. Jake próbował wziąć ją na męski urok, ale szybko się zorientował, że to może przynieść skutek odwrotny do zamierzonego.

Pani Snidely była odporna na lizusostwo, za to bardzo wymagająca.

- Chcę mieć żywe kwiaty w pokoju - powiedziała na wstępie. -

Potrzebuję więcej ręczników i koc elektryczny. I proszę o odtwarzacz CD i płyty z muzyką klasyczną.

- Pani życzenie jest dla mnie rozkazem. Spojrzała na niego spode łba i głośno prychnęła.

Trzymała na rękach ujadającego yorka. Pies miał na imię Brygadier BonBon. Był rodowodowym czempionem, który zgarniał trzy tysiące dolarów za usługę reprodukcyjną. Penelope poinformowała o restrykcyjnej diecie BonBona i jego nietolerancji na laktozę. Jake ledwie jej słuchał, i już był bliski zapadnięcia w śpiączkę, gdy wydała gwałtowny okrzyk przerażenia.

Co jej się stało? Zobaczyła mysz? Wypatrzyła gdzieś ducha? Jake odwrócił się i zobaczył przemykającą za nim Lulu.

- O co chodzi? Co się stało?

- Ten potworny kundel. - Pani Snidely pokazała drżącym palcem Lulu. - To suka. Dlaczego ona łązi bez smyczy?

- Lulu? Ona nie skrzywdziłaby nawet muchy,

- Nie rozumie pan, młody człowieku. Brygadier BonBon jest światowej klasy reproduktorem.

Czy to znaczyło, że interesuje go wszystko, co ma sierść?

BonBon zaczął ujadać głośniejszym, niższym tonem i z większą częstotliwością. Chłopak rzeczywiście był jurny.

Lulu postawiła uszy i bezczelnie podeszła bliżej. Pani Snidely oparła się plecami o drzwi pokoju, który, traf chciał, zajmowała Sadie, i tak kurczowo ścisnęła Bon-Bona, że zbieleły jej kłykciki palców.

- Won! Poszła. Odejdź stąd. Niech pan ją stąd zabierze, młody człowieku. W tej chwili, jeśli zależy panu na dobrym notowaniu w „Yodor's”.

- Lulu - rozkazał surowo Jake. - Wynocha.

Lulu zignorowała go kompletnie, całą uwagę skupiając na BonBonie.

Suka husky patrzyła yorkowi głęboko w oczy.

Ich miłosne spojrzenie przypomniało Jake'owi scenę jedzenia spaghetti z „Zakochanego kundla”.

Ooo... Lulu mogła mieć po prostu cieczkę. Zdecydował, że zanim ją wysterylizuje, pozwoli jej wychować jeden miot szczeniaków, zwłaszcza że Mack i Cammie Jo wyrazili chęć posiadania potomka Lulu. Zastanawiał się, co by powiedzieli na mieszańca yorka z husky.

No i co by na to powiedziała pani Snidely.

Wyraźnie nie podobał jej się ten pomysł, ale widać było, że Brygadier gustuje w dużych panienkach i całkiem stracił głowę dla Lulu.

Dość niespodziewanie sytuacja wymknęła się spod kontroli. Sadie otworzyła drzwi, zdążyła tylko zapytać: „Co tu się dzieje?” - i w tym samym momencie pani Snidely straciła równowagę, po czym wpadła bezwładnie do pokoju Sadie.

Sadie wyciągnęła ręce i zdążyła ją złapać.

- Kim pani jest? - spytała.

- To pani Penelope Snidely. Recenzentka kulinarna z „Yodor's” - powiedział Jake.

BonBon zaskowyczał, jednym skokiem uwolnił się z objęć swojej właścicielki i wylądował na podłodze u stóp swojej potencjalnej kochanki.

Pani Snidely wrzasnęła.

Lulu wyciągnęła pysk i energicznie chwyciła małego yorka za kark.

Snidely wrzasnęła po raz drugi. Na całe gardło.

Sadie wyglądała na oszołomioną, ale nawet w połowie nie była tak oszołomiona jak Jake - widokiem Sadie odzianej w skąpy różowy kombinezon do spania i klapki na obcasach. Co za nogi, co za biust, co za kobieta.

Opadła mu szczeka.

Ich spojrzenia się spotkały.

- Co się stało? - spytała.

- Lulu ma cieczkę, a tak się składa, że BonBon pani Snidely jest cennym reproduktorem.

- O Boże.

- Łapcie ich, wy imbecyle! - krzyczała pani Snidely. - Zanim stanie się coś strasznego. Jeśli ich nie zatrzymacie, będziecie mi winni trzy tysiące dolarów za pokrycie suki.

Jake spojrzał na Lulu czmychającą przez hol z Bon-Bonem w zębach.

Jake dostał ataku śmiechu. Wiedział, że powinien pognać za nimi i zapobiec nieszczęściu, które zrujnuje jego interes. Próbował się ruszyć. Naprawdę próbował. Próbował zmusić nogi do biegu, ale ta scena była tak cholernie zabawna, że nie mógł przestać się śmiać.

Ktoś przemknął koło niego w czymś różowym. Ktoś w klapkach na wysokich obcasach i seksownym kombinezonie do spania.

Sadie. W obłądnej pogoni za zakochaną Lulu, która właśnie uciekła ze swoim superrasowym chłopakiem.

- Zróbcie coś! - wykrzyknęła pani Snidely. - Zróbcie coś natychmiast, uratujcie mojego BonBon przed tą wstrętną bestią albo z waszej restauracji zostanie tylko parking samochodowy.

Natychmiast przeszedł mu atak śmiechu. Pognał za Sadie.

Sadie dopadła Lulu w jej budzie na tylnym dziedzińcu pensjonatu. Kierowała nią jedna myśl. Ocalić skórę Jake'owi.

Opadła na klęczki i wsadziła głowę do budy. Lulu obejmowała łapami BonBona, a mały BonBon w niepohamowanym miłosnym zapale lizał jej mordę.

- Chodź tu, BonBon - powiedziała piskliwym głosem i potarła kciukiem o dwa pierwsze palce w geście znaczącym „do mnie”.

BonBon pokazał zęby i warknął głosem nieproporcjonalnie mocnym do swojej nikłej postury. Zupełnie jakby usłyszała męski głos wydobywający się z ust małej dziewczynki. Ten niepokojący dźwięk spłoszył Sadie tak bardzo, że podskoczyła i uderzyła głową o strop budy.

- Au. - Potarła bolące miejsce.

- BonBon, gdzie jest mój BonBon? - Pani Snidely zawodziła za jej plecami.

Sadie złapała BonBona za kark. Mały terier wbił ostre kły w jej ciało, ale nie puściła go. Może był jakiś sposób, żeby ocaleć z tej katastrofy. Walka z psem pani Snidely wydawało się niską ceną za uratowanie reputacji Jake'a.

Wyjęła głowę z budy, tryumfalnie trzymając BonBona. Pani Snidely wyrwała jej yorka i zaczęła gruchać do niego jak do niemowlęcia. Nawet nie powiedziała dziękuję.

Nieokrzęsana czarownica.

Sadie wstała, otrzepała kolana i podniosła głowę.

I dopiero wtedy zobaczyła Jake'a. Uśmiechnął się.

- Uratowałam sytuację.

- Nic wielkiego. - Wzruszyła nonszalancko ramionami, ale jego uśmiech wdzięczności był balsamem dla jej duszy.

Dzień zaczął się źle i po równi pochyłej zmierzał ku katastrofie. Dużo czasu zabrało uspokojenie pozbawionej humoru pani Snidely. Na wszelki wypadek Jake obiecał, że do końca jej wizyty husky będzie na łańcuchu, a potem hojnie jej zrekompensował przykry poranny incydent.

Talony do supermarketu „Long Bear's. Gratisowa wycieczka z przewodnikiem do lasu deszczowego w Tongass. Butelka jego najlepszego wina. Kiedy obiecał, że sfinansuje przebukowanie jej biletu powrotnego z klasy turystycznej na pierwszą, kobieta zdawała się na tyle udobruchana, żeby oddać sprawiedliwość umiejętnościom Henriego.

Ale nieszczęsny epizod z BonBonem był tylko początkiem kłopotów Jake'a.

Nie doczekali się dostawy poledwicy na wołowinę a la Wellington i Henri, zmuszony w ostatniej chwili zmienić menu, był bliski szału. Linc na prawie godzinę zatrzasnął się w komorze chłodniczej. Był na granicy hipotermii, kiedy go znaleźli, więc Jake musiał dać mu wolne na resztę dnia, zostając w ten sposób bez barmana. Zepsuła się zmywarka, nie działało urządzenie do rozliczania kart kredytowych, a jego najlepsza sezonowa kelnerka wybrała akurat ten moment, żeby powiedzieć, że wyjeżdża z miasta dwa tygodnie wcześniej, niż zapowiadała, bo musi pomóc siostrze, która urodziła dziecko.

I do tego wszystkiego jeszcze Sadie. Po prostu nie mógł przestać o niej myśleć - choć bardzo się starał i choć wiedział, jak wiele zależy od tego, czy skoncentruje się na pilnowaniu interesu.

Nie mógł przestać na nią patrzeć. I marzyć, żeby jej dotknąć.

Patrzył na nią zza baru, kiedy przyjmowała zamówienie od grupy miejscowych mężczyzn. Kiedy droczyła się z nimi i rozmawiała, ich twarze się rozpromieniały, a jego kłuła zazdrość.

Irytowało go, swoją drogą, że ci mężczyźni są w brudnych roboczych ubraniach, za nic mając jego ambicje, żeby „Paradise Inn” stało się eleganckim miejscem, do którego przychodzi się pod krawatem. Nikt w tym miasteczku, poza Kay, Cammie Jo i Meggie, nie zdawał się podzielać jego wizji ucywilizowania Bear Creek.

- Jakie jest danie dnia? - spytał mężczyzna o imieniu Marvin.

- Ser kozi, tartaletki z prosciutto i figi macerowane w armagnacu.

- A co to takiego? Nie lubię jeść niczego, czego nie potrafię wymówić.

- Nie wiesz, dlaczego Jake wciska nam te paskudne dziwactwa? - spytał inny. - Lubiliśmy „Paradise” taki, jaki był.

- Przynieś nam po prostu cheeseburgery - zdecydował Marvin. - I po kuflu piwa.

- Marv, nie mamy już w karcie cheeseburgerów. Przykro mi.

- E tam, daj spokój, kotku, chcesz mi powiedzieć, że nie możesz uśmiechnąć się do kucharza, żeby rzucił na ruszt kilka hamburgerów? Przecież musi mieć gdzieś zachomikowaną mieloną wołowinę.

Jake wstrzymał oddech, ciekawy, jak Sadie z tego wybrnie.

Sadie uśmiechnęła się błogo.

- Masz absolutną rację, Marvin. Zrobię to. - Odwróciła się i pewnym krokiem poszła do kuchni.

Dwie sekundy później Jake, usłyszawszy wiązankę francuskich przekleństw wydobywających się zza wahadłowych drzwi, wpadł do



kuchni i zobaczył, że kucharz wymachuje Sadie przed nosem chochlą do zupy.

- Mais non! - oświadczy! Francuz. - Nie zrobię cheeseburgerów.

Powiedziałem i już.

- Ależ... - Sadie mówiła miękkim, niskim głosem. - Nie ma powodu się irytować. Nikt nie chce cię urazić. Oni po prostu lubią cheeseburgery.

- To niech zobie idą do Cheeseburger Hut.

- W Cheeseburger Hut nie podają piwa.

- Pivosze! - Wydał pogardliwie usta.

- A może sama wrzucę na grill kilka hamburgerów. Nie musisz się tym zajmować. - Sadie zrobiła krok w stronę piecyka.

Henri zagroził jej drogę i potrząsnął chochlą.

- Dotknij tylko grilla i jezd po tobie.

Jake'owi krew zagotowała się w żyłach. Nie wierzył, żeby Henri naprawdę mógł zrobić Sadie krzywdę, ale nie miał zamiaru pozwolić, żeby ten człowiek jej groził. Choćby był najgenialniejszym kucharzem.

Stanął pomiędzy Henrim a Sadie.

- Opuść tę chochlę - rozkazał. - Zanim zrobisz komuś krzywdę.

- Wyrzuć ją! Ona podważa mój autorytet w kuchni. Nie mogę pracować w takich warunkach.

- Przesadzasz. - Jake obawiał się, że Henriemu oczy wyjdą z orbit.

- Przesadzam? Mówisz, że ja przesadzam?

- Zdecydowanie tak. I nie pozwolę, żebyś wygrażał moim kelnerkom narzędziami kuchennymi.

- Kelnerkom! Ta kobieta jest niekompetentną imbecylką. Wiadomo, dlaczego ją zatrudniłeś.

Jake zdrewniał. Ogarnął go niesamowity spokój. Nie łatwo wpadał złość, ale jeśli już do tego doszło, kończyły się żarty.

- Tak? Podziel się swoją wiedzą ze mną, Henri. Dlaczego zatrudniłem Sadie? Zamieniam się w słuch.

Henri rzucił jej pogardliwe spojrzenie.

- Dlatego, że jezdeź na nią napalony, ty chceż z nią iźdź do łóżka.

- Natychmiast przeprosisz pannę Stanhope za swoją nieuprzejmą uwagę.

- Nie. - Henri uniósł dumnie brodę.

Jake zrobił krok w jego stronę i walnął go pięścią w dłoń. Nie mógł uwierzyć, że to robi. Był typem faceta, który obraca wszystko w żart. Nigdy nie wdawał się w bójki. Unikał konfrontacji, ale ten obleśny mały Francuz obraził jego Sadie.

Jego Sadie? Do diabła, skąd mu się to wzięło?

- Przeprós.

- Non. - Henri cisnął chochlę do zlewozmywaka i z furią rozwiązał swój fartuch. - Koniec. Już mnie tu nie ma.

- Jake, już dobrze. Henri nie musi mnie przeproszać. - Sadie była biała jak ściana, a jej strach jeszcze wzmógł wściekłość Jake'a.

- Sadie - powiedział spiętym głosem. - Proszę, zostaw to mnie.

- Ale Jake, nie możesz pozwolić mu odejść. Pani Snidely przychodzi na kolację, a już jest do nas uprzedzona przez tę awanturę z psami.

Nas. Nie miał pojęcia, dlaczego to słowo sprawiło, że poczuł dziwne dławienie w gardle.

- Nie możesz odejść - oświadczył Henriemu.

- Nie? No to zobaczymy.

- Nie możesz odejść, ty humorzasta primadonno, bo to ja cię  
zwalam. I to natychmiast!

RS

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Jake! - Sadie przycisnęła rękę do ust, nie mogąc uwierzyć, do czego doprowadziła. - Nie wolno ci wyrzucić Henriego.

Reszta personelu kuchennego zamarła, jakby się obawiali, że będą następni w kolejce.

- Uważaj, żeby cię drzwi nie stuknęły w tyłek na odchodnym - zawołał Jake za Henrim. - Chociaż, właściwie, dobrze by się stało.

Chwyciła Jake'a za ramiona.

- Idź za nim. Przepróż. Ściągnij go z powrotem. Szybko.

- Nie ma mowy. On cię obraził.

- Potrzebujemy go, Jake. A obrażali mnie nie tacy jak on.

- Nie w zasięgu mojego słuchu.

- Twoja rycerskość jest wzruszająca, ale w tych okolicznościach to głupota. - Sadie pokręciła głową. - Kto przygotuje kolację dla pani Snidely?

Jake zrobił wielkie oczy i zbladł, jakby dopiero teraz zdał sobie sprawę z konsekwencji swojego kroku. Sadie spojrzała na zegarek.

- Zarezerwowała stolik na ósmą, a teraz jest wpół do szóstej. Zostało nam niewiele czasu.

- O rany.

- O rany, właśnie.

- Na pewno nie polecę za Henrim. Po tym, jak cię potraktował.

- Czy to główny powód, Jake, czy tylko jesteś zbyt uparty, żeby schować dumę do kieszeni?

- Nie będę go błagał.

- Nawet dla ratowania restauracji? Zastanów się, przecież cztery gwiazdki w rankingu „Yodor's” były twoim marzeniem.

- Zdaje się, że to stracona sprawa. Sadie założyła ręce na biodra.

- W życiu bym nie pomyślała, że Jake Gerard jest facetem, który tak łatwo składa broń.

- Czasami lepiej zostawić sprawy własnemu biegowi.

- Co to znaczy?

- Może nie dane mi było zostać prawdziwym restauratorem. Może to znak, że moja matka miała rację. Nie powinienem nawet szukać żony.

- Bzdura. Nie wierzę, że tak łatwo się poddasz,

- To nie twój kłopot, Sadie.

- Jak to nie? Wyrzuciłeś Henriego przeze mnie. Pomyślmy, jak z tego wybrnąć. - Miała ochotę złapać go za szyję i potrząsnąć mocno, żeby się opamiętał.

Wtedy do niej dotarło coś bardzo ważnego. Zależało jej na tej restauracji równie mocno jak jemu. Chciała, żeby Jake'owi się udało. On zasługiwał na swoje szczęście jak nikt inny na świecie. Zasługiwał na wspaniałą żonę i dzieci.

- Mam pomysł - powiedział. - To ryzykowne, ale może Quinn zechciałby nam pomóc. Jest bardzo dobrym kucharzem. Może nie jakimś wytrawnym smakoszem, ale potrafi zrobić genialną zupę rybną. Pójdę do niego, może da się namówić. - Otarł z czoła krople potu i odwrócił się do ludzi pomagających w kuchni. - Wracajcie z powrotem do pracy. Róbcie wszystko to, co było zaplanowane na dzisiejszą kolację.

- Powodzenia - powiedziała mu Sadie, ale ona nie miała zamiaru zdać się na łut szczęścia. Jake był zbyt dumny, żeby przebłagać Henriego,

ale ona nie. Niechcący wznieciła awanturę i teraz musiała wypić piwo, którego sama nawarzyła. W minutę po wyjściu Jake' a wybiegła na poszukiwanie kucharza.

Dwadzieścia minut później była z powrotem, przeklinając pod nosem cholernego Francuza. Próbowwała go przekonać, ale kiedy w zamian za współpracę zażądał od niej usług seksualnych, powiedziała, żeby się wypchał trocinami.

Fuj. Wzdrygnęła się z obrzydzenia. Co za bydlę.

Jake nie wracał. Sadie zerknęła na menu, które ułożył Henri.

*Opiekane ostrygi z puree z rukwi i sosem sabayon*

*Foie gras saute z czarnymi borówkami*

*Łosoś w ziołach flambirowany ginem*

*Gratinee ze szparagów*

*Marchewka z curry*

*Salatka luksemburska*

*Suflet czekoladowy*

Przeczytała dokładnie składniki. Pretensjonalne nazwy, ale dania nie wydawały się aż tak bardzo skomplikowane. Może niektóre z nich odważyłaby się przyrządzić. Co jej szkodziło? Właściwie nie miała nic do stracenia.

Założyła fartuch, zakasała rękawy i bez zastanowienia zabrała się do dzieła. Wkrótce poczuła się jak we własnym żywiole. Zdumiona, patrzyła na własne ręce wykonujące skomplikowane zadania. Kręcenie puree, smażenie, doprawianie sosów - wszystko było prawie tak łatwe jak oddychanie. Jak gdyby te wszystkie umiejętności miała we krwi.

To odkrycie zdumiało ją i zachwyciło. Gdzie ona nauczyła się takich rzeczy? Na pewno nie na statku wycieczkowym między jednym striptizem a drugim. Ale jeśli pracowała kiedyś jako kucharka, dlaczego nie mogła sobie tego przypomnieć?

Nie tylko Sadie była zaskoczona swoim nowo odkrytym talentem. Personel kuchenny gapił się na nią jak na kosmitę, który wysiadł ze swojego latającego talerza z serdecznym, Jak leci, Ziemianie?".

Była tak pochłonięta twórczością kulinarną, że nawet nie zauważyła, kiedy do kuchni wrócił Jake.

- Sadie - spytał ostro - co ty robisz?

Nie oderwała wzroku od ubijanej własnoręcznie piany z białek do sufletu czekoladowego. Uśmiechnęła się do siebie, kiedy biała masa zrobiła się sztywna i błyszcząca. Super.

- Sadie.

Machnęła na odczepnego ręką. Czy on nie wiedział, jak trudno jest zrobić doskonały suflet?

- Cii... - szepnął jeden z pomocników kelnera i szturchnął go łokciem w żebro. - Popatrz na nią.

Jake rozdziawił usta w niemym zdumieniu. Czegoś tu nie rozumiał. Jakim cudem najgorsza kelnerka pod słońcem z tak cholerną zręcznością posługiwała się trzepaczką do bicia piany?

Włożyła suflet do piecyka, a potem odwróciła się, radośnie uśmiechnięta, z przypudrowanym mąką nosem. Jake wciąż na nią patrzył z otwartymi ustami, nie wierząc własnym oczom.

- Spróbuj. - Wzięła coś łyżką z patelni i położyła mu na język. - Powiedz, co o tym myślisz. Trochę więcej czarnego pieprzu?

Zamknął w ustach soczysty kąsek. Jego kubki smakowe pobudziła harmonia smaków. Ostrygi, śmietana, cytryna, szampan.

- Mmm, mmm... - mrucał z zachwytu. Aż do tej chwili nie zdawał sprawy, jak bardzo jest głodny. Przez cały dzień był zbyt zdenerwowany, żeby myśleć o jedzeniu. - To jest rewelacyjne, Sadie.

- Dzięki.

- Gdzie ty się nauczyłaś tak gotować? Wzruszyła ramionami.

- Śmiało, nie wstydz się. Jesteś lepsza od Henriego, a on skończył słynną szkołę.

Naprawdę był oszołomiony, że Sadie potrafi przygotować tak wykwintną ucztę. Nie żałował, że wykopał Henriego, ale faktem było też, że przeżył moment paniki na myśl o tekście, który ukaże się w przewodniku „YodorY”.

Sadie przyjęła jego komplementy z wdzięcznym rumieńcem. Wyglądała jak uszczęśliwione dziecko, które właśnie nauczyło się jeździć na rowerze bez dodatkowych dwóch kółek.

- Naprawdę nie wiem. To jakoś samo przyszło. Dziwne, co?

- Więcej niż dziwne. Ukrywasz swoje talenty.

- Znalazłeś swojego przyjaciela Quinna?

- Nie. Nie było go w domu. Ale po co mi Quinn, skoro mam ciebie?

Dostanę jeszcze kawałek? Proszę...

Roześmiała się i wyłowila z patelni następną ostrygę. Podstawiła dłoń pod łyżkę. Trzymając ostrygę poza jego zasięgiem, droczyła się z nim przez chwilę, upojona zwycięstwem. Miała rumieńce na policzkach i oddychała trochę za szybko.



Wydawała się w tym momencie taka ciepła, taka spełniona, taka opanowana. Właśnie tak wyobrażał sobie kobietę, którą chciałby za żonę.

Jake poczuł się lekko zbity z tropu. Jakie pobudki kierowały Sadie?

Coś tu jest nie tak.

Pomachała mu przed nosem ostrygą.

- Umm, powąchaj.

Chwycił ustami łyżkę i w tym samym momencie złapał Sadie za talię i przyciągnął mocno do siebie.

- Ty coś knujesz, prawda? - mruknął, połknąwszy ostrygę.

Rany, jak dobrze było mieć ją w ramionach.

- Przyrządzam kolację dla recenzentki kulinarnej z „Yodor's” to wszystko. A teraz puść mnie, zanim przypalę szparagi.

Przyłgnęli do siebie wzrokiem, czując to znajome elektryczne iskrzenie, i gdyby byli wtedy sami, Jake nie powstrzymałby się, żeby jej nie pocałować.

- Hej. - Jedna z kelnerek wpadła jak bomba przez wahadłowe drzwi oddzielające kuchnię od sali jadalnej. - Ona tu jest.

- Jaka ona? - spytał Jake.

- Ta recenzentka.

- Ach, ona. - Wypuścił z objęć Sadie i poszedł przywitać się z gościem.

Pani Snidely przyniosła ze sobą BonBona i wciąż niełatwo było ją zadowolić. Zaczęła od narzekania na stolik. Zbyt blisko okna. Jake przesadził ją do innego. Kręciła nosem na wino. Zbyt wytrawne. Przyniósł inną butelkę. Komentowała ubiór innych gości, nieodpowiadający

standardom eleganckiej restauracji. Wszystko się w nim gotowało, ale przeprosił za niechlujny wygląd wielu swoich przyjaciół i sąsiadów.

Przeprosiny jej nie ukończyły. Psioczyła dotąd, aż Jake przyniósł z pensjonatu wystarczającą ilość marynarek i krawatów, żeby odziać wszystkich mężczyzn. Kilku z nich bardzo się opierało, ale w końcu obiecał im kolację na koszt firmy. To zaspokoilo wrażliwość estetyczną pani Snidely, ale tylko na chwilę. Okazało się, że nie lubi lnianych obrusów. Za bardzo wykrochmalone, co drażniło delikatny zadek BonBona. Jake zaciskał zęby, żeby nie powiedzieć jej, że gdyby nie pozwoliła siedzieć psu na szorstkim obrusie, nie swędziałyby go tyłek.

Jake zaczął się obawiać, że nawet kulinarny talent Sadie nie zrobi wrażenia na tej zgorzkniałej babie.

- Młody człowieku, gdyby Henri Renault nie był twoim szefem kuchni, nigdy bym się nie zgodziła przyjechać do tej zapadłej dziury. Nie rozumiem, jak ci się udało go tutaj ściągnąć, ale to prawdziwy mistrz sztuki kulinarnej. Jadałam w „Chateau Maison” w Seattle, kiedy on był tam szefem, i brak mi słów uznania dla jego talentu.

Oho. Nie miał zamiaru się przyznać, że Henri nie dogodzi tego wieczoru jej subtelnemu podniebieniu.

- Bardzo jestem ciekawa, czym mnie dzisiaj zaskoczy.

- Menu zostało zaplanowane z myślą o pani - powiedział, modląc się w duchu, żeby nie była uczulona na ostrygi albo coś innego, co było w spisie potraw.

Wstrzymywał oddech do chwili, kiedy pani Snidely spróbowała ostryg i oświadczyła, że są boskie. To samo powiedziała o foie gras. BonBonowi widocznie też smakowało, bo zżarł porcję przekąsek za dobre

dwadzieścia dolarów. Jego pani mruczała z zachwytem nad łososiem, piała nad sałatką luksemburską i powiedziała, że po zjedzeniu rewelacyjnego sufletu Henriego mogłaby umrzeć szczęśliwa.

Wtedy Jake nie wytrzymał. Przyznał się, że to nie Henri przyrządził kolację. Widok zdumionej twarzy snobki wart był każdych pieniędzy.

- Jak to? Nikt inny nie potrafi tak gotować.

- A jednak są tacy, którzy potrafią.

- Oszukałeś mnie, młody człowieku.

- Sama pani powiedziała, że jedzenie jest wyśmienite.

Skrzywiła się, nie zaprzeczając.

- Twój szef musi być uczniem Henriego.

- Nie.

- Cóż, w takim razie chciałabym poznać tego szefa i pogratulować mu dobrej roboty.

- Nie jemu. Szef kuchni jest kobietą. Pani Snidely oniemiała.

Jake miał świetną zabawę. Zastanawiał się, czy recenzentka nie wypluje ostatniego kęsa sufletu i nie wytrze języka serwetką.

- Powiedz jej, proszę, że chciałabym ją poznać. -Pani Snidely machnęła ręką.

- Dobrze. - Jake skinął głową i z uśmiechem pognął do kuchni, żeby powiedzieć Sadie, że recenzentka kulinarna chce jej pogratulować.

Sadie wyprostowała się, uniosła wysoko głowę i wkroczyła do sali. Zanim dotarła do stolika pani Snidely, zatrzymało ją wielu stałych bywalców lokalu, którzy wyrażali zachwytem nad pysznym jedzeniem.

Przyjmowała ich komplementy, promieniejąc ze szczęścia. Dlaczego wcześniej nie wiedziała, że jest tak dobrą kucharką? Gotowanie było jej prawdziwym powołaniem.

- Po prostu cudowne - westchnęła jedna z kobiet.

- Masz talent - powiedział jej towarzysz.

- I nie jesteś ponad to, żeby usmażyć hamburgera - dodał ktoś inny.

Ich pochwały pieściły jej uszy. Z godną miną stanęła przed stolikiem pani Snidely.

BonBon odsłonił zęby i warknął. Żałosny kundel:

- A, to ty - odezwała się pani Snidely. - Możesz mi przynieść jeszcze trochę kawy?

- Ona nie jest pani kelnerką - podpowiedział Mack, który siedział przy sąsiednim stoliku.

Cammie Jo pokazała palcem swój czubaty talerz pasty i powiedziała bezgłośnie „pycha”. Pani Snidely zrobiła wielkie oczy.

- Ty jesteś tu szefem kuchni?

- Tak, proszę pani.

- Ty to wszystko zrobiłaś?

- Owszem.

- Niewiarygodne. - Pani Snidely pokręciła głową. Sadie wzruszyła ramionami.

- Moja droga, gotujesz genialnie.

- Dziękuję. Bardzo dziękuję.

- Ale zupełnie nie rozumiem, dlaczego tracisz dany od Boga talent w takiej zapadłej dziurze. Miałam zadać to samo pytanie Henriemu.

Posłuchaj mojej rady. Rzuć tę norę i tych nieokrzesanych tubylców i znajdź sobie godne miejsce zatrudnienia.

- Słucham...

- Dam temu lokalowi cztery gwiazdki wyłącznie za twoje kulinarne umiejętności. Zapewniam cię, że tutaj nic innego nie zasługuje na moją rekomendację. Ani obsługa, ani atmosfera, ani klientela, ani ten nadskakujący właściciel. Fryzjerczyk.

Nadskakujący? Ta czarownica nazywa Jake'a fryzjerczykiem?

Sadie poczerwieniała ze złości. Jak ten babsztyl śmiał obrażać jej nowych przyjaciół, „Paradise” i Jake; a! Zaciśnęła dłonie w pięści, żeby nie wydrapać jej oczu.

Wszystkie oczy były zwrócone na nie obie. Zapadła martwa cisza.

- Proszę wybaczyć, ale nie podoba mi się, kiedy ktoś obraża moich gości.

Pani Snidely spojrzała koso na ludzi przy innych stolikach.

- Pracując w takiej norze, skarbie, ponosisz ryzyko zawodowe.

Okej. Cierpliwość się wyczerpała. Koniec udawania grzecznej dziewczynki.

Sadie odwróciła się do sąsiedniego stolika, chwyciła miskę z pastą Cammie Jo i uśmiechnęła się słodko do przyjaciółki.

- Pozwolisz, że sobie to pożyczę. Za chwilę przyniosę ci następną porcję.

Bez zbędnego wstępu umieściła miskę ze spaghetti na małej spiczastej głowie pani Snidely. Snidely wrzasnęła. BonBon zaskomlał.

- Ty, ty, ty... - Pani Snidely bełkotała i zgarniała z oczu spaghetti, podczas gdy miska wciąż tkwiła na jej głowie.

- Nieokrzesany tubylec?

- Och! - Pani Snidely zerwała się na równe nogi i chwyciła na ręce BonBona. - Mam nadzieję, że traktujesz tę pracę jak małżeństwo, siostrzyczko, bo nikt w pozostałych stanach nie ośmielił się przyjąć cię do pracy. Moja w tym głowa! Małżeństwo?

- I jeśli myślisz, że przyznam tej spelunie więcej niż jedną gwiazdkę, to się grubo mylisz.

Sara otworzyła usta i patrzyła w osłupieniu na tę dziwną, chudą jak patyk kobietę, całą w paście i sosie do spaghetti, która podskakiwała w miejscu, jakby oszalała. W końcu wypadła z restauracji, zostawiając za sobą ślady sosu.

Salę wypełniły okrzyki radości. Ktoś, pomyślała, że to mógł być Mack, wydał entuzjastyczny gwizd. Potem wszyscy zaczęli skandować.

- Sadie, Sadie, Sadie!

Odwróciła głowę i zobaczyła idącego ku niej Jake'a. Furia malowała się na jego twarzy.

O Boże, jak ona spojrzy mu w oczy? Powstrzymując łzy, Sara odwróciła się na pięcie i uciekła z restauracji.

Pobiegła do swojego pokoju, ale nawet tam nie znalazła ucieczki przez sobą samą. Na łóżku leżały stringi i minispódniczka, tak przezroczyta i wąska, że nawet księżycowa dama pomyślałaby dwa razy, nim odważyłaby się coś takiego włożyć. Skąd to się u niej wzięło? Przecież nigdy by się nie ubrała w coś tak wyzywająco ohydneho.

Tak jak nigdy byś nie zrzuciła nikomu spaghetti na głowę i nie obłapiała się z prawie nieznanym mężczyzną w opustoszałej restauracji...

Wyjając z rozpacz, Sara rzuciła się na łóżko. Musiała postradać zmysły. To było jedyne wytłumaczenie. Może powinna schować do kieszeni dumę i zadzwonić do taty. Albo spróbować jeszcze raz skontaktować się z Kim i Lizzy. Swoją drogą, dziwiła się, że kochane przyjaciółki, które musiały zauważyć jej zniknięcie, same nie zaczęły jej szukać.

Zanim się zdecydowała, do kogo zadzwonić najpierw, usłyszała delikatne pukanie do drzwi.

- Sadie?

Jake.

Och nie. Wsunęła się pod narzutę i zakryła głowę. Nie miałyby do niego żalu, gdyby udusił ją własnymi rękami. Zasługiwała na każdą karę.

- Sadie, skarbie, wiem, że tam jesteś. Możemy porozmawiać? Proszę cię, otwórz.

Hm. Nie słyszała w jego głosie złości. Ale może to był tylko podstęp, żeby go wpuściła.

Gałka u drzwi się poruszyła, i wtedy Sara z przerażeniem zdała sobie sprawę, że nie zablokowała zamka. Wyskoczyła z łóżka, ale nie była dostatecznie szybka. Drzwi się otworzyły i stanęła twarzą w twarz z Jakiem.

Odskoczywszy w tył, uderzyła się w łydkę o ramę łóżka. Przygotowała się na najgorsze, ale Jake zamiast ją skarcić, spokojnie zamknął drzwi.

- Dobrze się czujesz? - spytał z troską w oczach.

I wtedy coś w niej pękło. Kompletnie się rozkleiła i wybuchła płaczem.

Jake owinał ją ramionami i usiadł z nią na brzegu łóżka.

- Już dobrze, kochanie - szepnął czule, dotykając wargami jej ucha.

- Nie, nie jest dobrze.

- Ciii. Nie płacz.

- Przestań być dla mnie taki miły. Przeze mnie nie masz szansy dostać tych czterech gwiazdek. Nawet trzech ani dwóch.

- Więc chcesz, żebym na ciebie wrzeszczał? - spytał z uśmiechem.

Skinęła ponuro głową.

Jake siłą woli powstrzymał się od śmiechu. Sadie mówiła serio.

- Tylko po co? To by niczego nie zmieniło - powiedział cicho.

- Zasłużyłam na to, żebyś mnie porządnie przeświecił.

- Nieprawda.

- Dalej. Wrzeszcz, przeklinaj, ciskaj gromy, co chcesz. Naprawdę mi się należy. Wyrzuć mnie z pracy. Wcale nie miałabym o to żalu.

- Nie mam zamiaru cię wyrzucać.

- Dlaczego nie? Cisnęłam spaghetti na głowę recenzentki „Yodor's”.

- Szczerze mówiąc, byłem o krok od zrobienia tego samego.

- Naprawdę?

- Po czorta nam pochwały jakiejś zaszuszonej czarownicy z „Yodor's”?

Kiedy wreszcie Sadie zachichotała, jemu zrobiło się cieplej na duszy.

Zdał sobie sprawę, że jej uczucia są ważniejsze od sukcesu finansowego „Paradise”. Nie potrzebował żadnych gwiazdek, żeby jego restauracja była miejscem, w którym dają dobrze jeść. Potrzebował Sadie i jej kulinarnych umiejętności. Potrzebował swoich przyjaciół i miejscowej klienteli. Zarabianie na turystach było miłą rzeczą, ale nie kosztem stałych



bywalców. A właśnie ku temu zmierzał, zrażając lojalnych klientów tym, że na siłę próbował zrobić z „Paradise” coś, czym to miejsce nigdy nie było.

Tak jak na siłę próbujesz być kimś, kim nie jesteś. Idealnym materiałem na męża.

I było coś jeszcze, z czego zdał sobie sprawę, gdy idąc do niej, miętosił w palcach samorodek złota swojego prapradziadka.

Używał „Paradise” jako wymówki. Nie potrzebował eleganckiej restauracji do tego, żeby się ożenić. I zamiast zezłościć się na Sadie, nagle zaczął się zastanawiać, dlaczego rękami i nogami broni się przed małżeństwem, kiedy tak naprawdę założenie rodziny było tym, czego chciał najbardziej.

Jakoś nie miał ochoty grzebać zbyt głęboko we własnej psychce.

- Każdy inny na twoim miejscu by mnie wyrzucił - powiedziała Sadie. - Nie możesz zatrudniać mnie tylko dlatego, że pociągam cię fizycznie.

- Nie dlatego chcę cię zatrzymać.

- Nie jestem najlepszą kelnerką.

Jedno spojrzenie na jej twarz i cały topniał. Ostatnio czuł się tak z Renny, która zrobiła z niego durnia. Ale Sadie nie była Renny. Choć co on, tak naprawdę, o niej wiedział?

Odgarnął kosmyk włosów z jej czoła.

- Nie, nie jesteś najlepszą kelnerką. Tak z ręką na sercu, powiedziałbym, że masz szansę na tytuł najgorszej kelnerki na świecie.

- Więc dlaczego mnie nie wylejesz?

- Bo jesteś genialną kucharką.

- Dajesz mi nowe stanowisko?

- Tak. Zastąpisz Henriego.

- Dostanę też jego pensję?

- Nie przeciągaj struny - warknął żartobliwie. Uśmiechnęli się do siebie.

Jake nie wypuszczał Sadie z objęć. Gdyby pochylił lekko głowę, mógłby ją pocałować. Wziął głęboki oddech. Przyszedł tu, żeby ją pocieszyć, a nie wykorzystywać sytuację. Jego intencją było uspokojenie jej, a nie uwodzenie.

Ale Sadie była podniecona tak jak on. Rozchyliła usta. Widział koniuszek jej różowego języka i musiał zacisnąć zęby, żeby nie jęknąć. Ona chciała, żeby ją pocałował. Kusila go.

- Cieszę się, że czujesz się trochę lepiej - powiedział, rozpaczliwie walcząc z pokusą. Bał się, że jeśli zaczną, żadne z nich nie będzie w stanie się pohamować. I na pewno nie skończy się na pocałunku.

Delikatnie zsunął ją ze swoich kolan.

- Nie przejmuj się awanturą z panią Snidely. Ujęłaś się za swoimi przyjaciółmi i za mną. Podziwiam cię, Sadie Stanhope. Jesteś dziewczyną z ikłą. Może trochę impulsywną, ale nie chciałbym, żebyś była inna. - Pochylił się i musnął wargami jej czoło. A potem wstał i cicho wyszedł.

Sarze krew pulsowała w skroniach. Nie wyrzucił jej. I powiedział, że ją podziwia.

Poczuła dziwny ucisk w żołądku. Przecież on nie podziwiał prawdziwej Sary, tylko szaloną, impulsywną Sadie noszącą opięte minispódniczki.

Dlaczego miała te dziwne luki w pamięci? Dlaczego wcielała się w postać Sadie, kobiety aż zbyt podobnej do jej nieżyjącej matki? Czy to był jakiś rodzaj spełnienia tłumionych potrzeb?

Musiała uświadomić sobie fakt, że przez całe życie usiłowała być kimś, kogo chciał w niej widzieć jej ojciec. Robiła wszystko, żeby być idealną córką. Widocznie te nierealne oczekiwania spowodowały, że podświadomie zaczęła szukać swojej ukrytej tożsamości. Zaświtała jej także myśl, że ona w równym stopniu przeszkadzała ojcu żyć własnym życiem jak on jej. W równym stopniu nawzajem wiązali sobie ręce.

Nagle wszystko w jej życiu się odmieniło. Wszystko.

Co by się stało, gdyby odważyła się powiedzieć Jake'owi prawdę? O swojej dziwacznej rozdwojonej osobowości, nad którą nie była w stanie panować? Czy nie pomyślałby przypadkiem, że jest kompletnie stuknięta?

To byłoby uprawnione podejrzenie. Pokręciła w rozpaczy głową. Zupełnie, jakby ktoś rzucił na nią zły urok. Kobiecy przypadek doktora Jekylla i Mr. Hyde'a. Tylko że ona nie przypominała sobie, żeby zażyła jakiś magiczny napój.

I wtedy ją olśniło.

Wróciła pamięcią do balu kostiumowego na pokładzie "Alaskan Queen", usiłując połączyć w jakąś całość strzępy wydarzeń. Westchnęła ciężko, nie wiedząc, czy czuje większą ulgę, czy zażenowanie. Zrozumiała, Bogu dzięki, co się z nią działo, ale na myśl o tym, w jaki sposób musiała się zachowywać jako Sadie, przeszły jej ciarki po plecach.

Przypomniała sobie zdjęcie, które zrobiły jej Lizzy i Kim, kiedy tańczyła na scenie w stroju striptizerki. Zamknęła oczy, kuląc się ze wstydu. Nie była ani trochę lepsza od swojej matki.

Nic dziwnego, że Jake od początku patrzył na nią jak na obiekt pożądania. To pewne, że zachowywała się prowokacyjnie... Nagle jeszcze jedna myśl przyszła jej do głowy. A jeśli już z nim spała jako Sadie? Z przerażenia zaschło jej w gardle.

Nie. Niemożliwe. Nawet w hipnotycznym transie zapamiętałaby coś takiego.

Wyobraziła sobie ich nagie splątane ciała - w łóżku, na podłodze, pod prysznicem, na miękkim piasku pod pomostem, gdzie cumowały statki.

Saro Jane Stanhope, to niepodobne do ciebie. Natychmiast pohamuj swoje erotyczne fantazje.

Nic z tego. Nie była w stanie ukrócić cugli wyobraźni. Z zamkniętymi oczami zobaczyła ich w miłosnym uniesieniu - i od razu o kilka kresków podskoczyła jej temperatura.

Powachlowała się dłonią.

- Chcę się kochać z Jakiem Gerardem.

No dobrze. Więc powiedziała to. Pragnęła Jake'a, ale była zbyt tchórzliwa, żeby coś w tej sprawie zrobić. Nigdy nie zdobywała żadnego mężczyzny. Była zbyt nerwowa, zbyt nieśmiała, zbyt spanikowana, żeby zrobić pierwszy krok.

Może ty taka jesteś, ale nie Sadie, podszeptał jej chytry wewnętrzny głos. A gdybyś uwiodła go jako Sadie?

W jaki sposób?

Ależ kochanie, zachichotał szatański głosik. Powinnaś go zmusić do powiedzenia „gorący seks”.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Dwa dni zajęło Sarze wprowadzenie w czyn swoich planów. W niedzielę wieczorem zdecydowała, że teraz albo nigdy. Wkrótce jej ojciec dowie się, że zniknęła ze statku. Przygoda dobiegała końca, ale Sara nie chciała wyjeżdżać z Bear Creek, dopóki nie spełni swojego pragnienia. Chciała kochać się z Jakiem.

Po zamknięciu restauracji, kiedy wszyscy rozeszli się do domów, zajrzała do baru. Linc miał tego dnia wolny wieczór i Jake sam polerował bufet. Odłożył na bok ściereczkę i uśmiechnął się do niej.

- Wszyscy inni już poszli?

- Uhm. Linc kpił ze mnie któregoś dnia, że nazywam Krwawą Mary Brudnym Harrym. Dlaczego mi nie powiedziałaś?

- Robiłaś to z takim wdziękiem, że nie chciałem wyprowadzać cię z błędu.

- Nie lubię robić za słodką idiotkę, więc postanowiłam, że się nauczę wszystkich drinków.

- Sadie, jesteś teraz szefem kuchni, nie musisz się przejmować drinkami.

- To dla mnie sprawa honoru.

W porządku. Co dalej? Wahala się przez moment.

- Linc zrobił mi kiedyś ten nowy drink. Był pyszny, ale zapomniałam jego nazwy. Wstydziałam się przyznać, bo już kiedyś mnie wyśmiał za Brudnego Harry'ego.

- Co jest w tym drinku?

- Nie jestem pewna. Jakiś alkohol. - Szło jej fatalnie, bo wychodziła na kretynkę.

- W skład większości barowych drinków wchodzi jakiś alkohol - powiedział z rozbawioną miną.

Poczekaj, koleś, powiedz tylko „gorący seks”.

- Umm... Zdaje się, że to było coś z „sekssem”. Jake uśmiechnął się szeroko.

- To podobne do Linca. Częstowanie cię seksownymi drinkami.

- I chyba było w tym jakieś słowo na „g”.

- Grzeszny Seks? Amaretto, likier malinowy, sok ananasowy.

- Nieee, jakoś inaczej.

- Seksapil? Biały rum, rum kokosowy...

- Nie, nie.

- Seks na Lodzie?

Och, z tobą mogłabym wszędzie. Na lodzie, na piecu, w chłodni.

- Seks pod Prysznicem?

- Hmm. Nie, chyba nie.

- Seks w Czerwonej Strefie?

- Nie.

- Jest sporo wersji Seksu na Plaży. Może to był jeden z nich.

Sfrustrowana, znów potrząsnęła głową. Ten podstęp nie działał.

- No i jest jeszcze bardzo popularny Seks na Mojej Twarzy.

- Jake!

- Wprawiam cię w zakłopotanie?

- Nie.

- Kłamczucha.

- No więc jestem lekko zakłopotana.

- Zdziwiasz mnie, Sadie.

- W jakim sensie?

- Czasami jesteś przebojowa, arogancka i odważna, a innym razem pruderyjna jak zakonnica.

- Nieprawda.

- Prawda. Dwie twarze Sadie Stanhope.

Nie miał pojęcia, jak bliski był prawdy. Nadarzała się okazja, żeby powiedzieć mu o hipnozie, ale czy wtedy kiedykolwiek zaciągnęłaby go do łóżka? Postanowiła obrócić wszystko w żart.

- Uważasz, że jestem dwulicowa?

- Och, nie, proszę pani. Jestem tylko skołowany twoją zmienną naturą i zaczynam się zastanawiać, czy nie masz siostry bliźniaczki albo co.

- Myślę, że w tym drinku jest kawa - powiedziała, chwytając się ostatniej deski ratunku. - I może bita śmietana.

- Nie kawa po irlandzku?

- Nie.

- Zaraz. Już wiem. - Jake strzelił palcami. - Gorący Strzał. Kawa, Galliano, bita śmietana.

- Gorący... Tak, bardzo możliwe, ale ciągle mi się wydaje, że w tej nazwie był seks.

- Coś mi się zdaje, skarbie, że Linc robi cię w konia. Z tego, co wiem, nie ma drinka o nazwie Gorący Seks.

Gorący seks.

Słowa, na które czekała, rozeszły się echem po sali. Sadie poczuła się cała rozpalona, seksowna i gotowa na wszystko. Och tak, misiu.

- Może zrobisz mi coś takiego? - Oparła się rękami o bufet.

- Co?

- Gorący Seks. - Zatrzepotała rzęsami.

- Nie mówisz już o drinkach, prawda? - Jake'owi puls galopował jak trzyletni ogier na ostatnim okrążeniu Kentucky Derby.

Przechyliła na bok głowę, rzuciła mu powłóczyście spojrzenie i nim się zorientował, przeszła na jego stronę baru. Był w poważnych tarapatach i zdawał sobie z tego sprawę. Sadie go pragnęła i on pragnął jej. Aż do piątkowego wieczoru uparcie sobie tłumaczył, że nie może ulec pokusie, bo Sadie jest zbyt podobna do mego, więc nie nadaje się na żonę. Ale gdy wydarzyła się katastrofa z panią Snidely, doszedł do wniosku, że może on w ogóle nie chce się żenić i używa restauracji jako wymówki.

Podniecony jak diabli, marzył o gorącym seksie. Tak jak Sadie.

Wspięła się na palce i przytuliła do niego, z zadowolonym pomrukiem odkrywając nieomylny dowód jego podniecenia.

- Możemy pójść do ciebie?

Czy możemy?! W mgnieniu oka Jake pogasił światła, zamknął restaurację i poprowadził Sadie do pensjonatu. Serce waliło mu jak oszalałe.

Chciał jej i ona chciała jego. A dopóki oboje mieli świadomość swoich czynów, nie było w tym nic złego. Kiedy dotarli do jego pokoju, Jake zdał sobie sprawę, że po raz pierwszy w całej historii swojego życia seksualnego jest okropnie zdenerwowany. Wyparowała gdzieś jego



zwykła pewność siebie i zaczął się czuć jak balon, z którego uchodzi powietrze.

Wyjął z kieszeni pastylkę miętową, żeby odświeżyć sobie oddech. Przezorny ubezpieczony.

Potrzebujesz czegoś więcej niż pastylki miętowej. Rusz wyobraźnią. Pomyśl, jak się do tego zabrać.

Ale miał kompletną pustkę w głowie. Gapił się na nią, nie mogąc się zdobyć na nic innego. Sadie stała na środku jego sypialni. W swojej prostej białej bluzce i czarnej spódnicy wyglądała piękniej niż zwykle.

Uśmiechnęła się tak kusząco, że niemal ugięły się pod nią nogi.

Świece, niemoto. Świece, szampan i nastrojowa muzyczka. Do dzieła. Dama czeka.

Podszedł do komody, pogrzebał w szufladzie z dziurawymi skarpetkami i znalazł kilka świec, które trzymał na wypadek awarii elektrycznej. Zapalił świece, a Sadie zgasła górne światło.

W świetle świec była jeszcze piękniejsza.

- Włączmy jakąś muzykę. - Podszedł do stolika przy łóżku - zbliżając się do Sadie na kilka kroków -i włączył stację ze starymi romantycznymi przebojami.

Uniósł głowę.

Sadie pochwyciła jego wzrok i podeszła bliżej.

- Może przyniosę szampana.

- Zanim uciekniesz, chcę tylko, żebyś wiedział, że nie mam na sobie żadnej bielizny.

Jake zachłysnął się powietrzem i pastylka miętowa wpadła mu do tchawicy. Próbował zakasłać, ale żaden dźwięk nie wydobył się z jego gardła. Ale plama.

- Jake? - Sadie miała zatroskaną minę. - Misiu, zakrztusiłeś się?

Pokręcił przecząco głową. Kłamał, ale nie chciał wyjść przed nią na głupka.

- Może to przez to światło... ale wydaje mi się, że zaczynasz sinieć. Walnął się w pierś.

- Jake, ty się dusisz! Poczekaj, zastosuję chwyt Heimlicha.

Stała za nim i objęła go w pasie w tym samym momencie, w którym udało mu się wykrztusić i normalnie połknąć cholerną pastylkę.

- W porządku... - zaczął mówić, ale urwał, gdy gwałtownie ścisnęła go pod żebrami.

- Uff.

- Jake? Przeszło ci?

- Tak, siostrzyczko. Dziękuję - powiedział w końcu, nabierając głęboko powietrza.

- Ale mnie przestraszyłeś. Siebie też.

- Chcesz po prostu spauzować? - zapytała.

- A ty chcesz?

Cholera. Naprawdę miał nogi jak z waty. Dlaczego był taki spięty, taki niezdarny? Nie poznawał sam siebie. Gdzie się podziała jego niezawodna jurność?

Wyparowała. Szlag ją trafił.

Bez tarczy ochronnej, jaką była jego reputacja czarującego luzaka, czuł się całkowicie obnażony. Teraz już rozumiał, dlaczego tak lekko traktował związki z kobietami. Za nic nie chciał pozwolić, by go zraniono.

Może powinien się wycofać, zanim sytuacja wymknie się spod kontroli. Gdyby Sadie go nie kusila tym pełnym uwielbienia spojrzeniem...

- Myślę, że powinieneś mnie pocałować. Bez żadnego wstępu.

- Jesteś pewna, że tego chcesz? Widziałaś, co robię z pastylkami miętowymi. Sporo ryzykujesz.

- Na własną odpowiedzialność.

- Jesteś bardzo, bardzo dzielną kobietą. - Przysunął się bliżej. Boże, jak ona cudownie pachniała. Rozmarynem i bazylią, szczypiorkiem i czosnkiem, i słodką esencją kobiecości.

- Albo głupio impulsywną, zależy od punktu widzenia.

- To, co ja teraz widzę, jest naprawdę warte grzechu. Patrzył w jej roześmiane oczy, obserwował jej zmysłowe usta, i znów czuł dzikie pożądanie.

Pochylił się i delikatnie potarł nosem jej nos.

- Pocałunek Eskimosów - powiedziała. - Tak nazywała to moja mama.

- Tak?

- Uhm.

Kiedy zamknęła oczy, pocałował jej powieki.

- Umm... jak miło. To moja mama nazywała pocałunkiem motyla.

Skubnął zębami jej ucho.

- A to?

- Daj spokój, Jake. Moja mama nigdy nie skubała mnie w ucho.

- Domyślam się - zachichotał. - Może my to jakoś nazwiemy?
- Może rajska przekąska?
- Bardzo ładnie.

Pochylił się niżej i przebiegł językiem po jej szyi. Sadie jęknęła. A niech to. Dopiero zaczynali, a on już był jak żywa pochodnia. Cały rozpalony, głodny, spragniony jak ona.

Wyraźnie przeszedł mu zapal do małżeństwa. Uległ magnetycznemu czarowi Sadie i nic się nie liczyło poza tym, że byli teraz razem w jego pokoju. Znow był sobą, popędliwym i impulsywnym Jakim, i wcale tego nie żałował.

Z radia popłynęło „You Sexy Thing”.

Sadie odsunęła się od niego i poczuł się strasznie osamotniony. Wyciągnął ręce, żeby przyciągnąć ją z powrotem, ale potrząsnęła głową. Zrozumiał, do czego zmierza, i w tym momencie jego podniecenie sięgnęło zenitu.

Rany Julek. Wszystkie jego marzenia miały się spełnić.

Powoli zaczęła rozpinąć guziki bluzki. Niczym zahipnotyzowany, Jake przysiadł na brzegu łóżka i patrzył, jak Sadie rozpoczyna swój striptiz.

Sadie jeszcze nigdy nie czuła się taka pobudzona, taka pewna siebie, taka pożądana. Cudowna była świadomość, że Jake jej pragnie. Chciała zaspokoić jego pragnienie na wszelkie możliwe sposoby. Zsunęła lekko bluzkę, odsłaniając szczyt lewego ramienia.

Zespół „Hot Chocolate” śpiewał o wierze w cuda.

Jake siedział jak sparaliżowany, nie odrywając od niej wzroku.

Zakreśliła biodrami. Czaka-bum-czaka-bum-czaka-bum-bum-bum. Z odrzuconą w tył głową uniosła oburącz włosy i na ugiętych nogach wirowała w rytm muzyki.

Zapamiętała się w tańcu, upojona zachwytem w oczach Jake'a, energią własnego ciała, poczuciem swojej kobiecej siły. Jednym wystudiowanym ruchem pozbyła się jedwabnej bluzki i zakreśliła nią nad głową, tak jak kowboj kręci lassem.

Jake podśpiewywał pod nosem o seksownej dziewczynie, z oczami wlepionymi w jej skąpy biały stanik. Sadie posłała mu perskie oko i odwróciła się do niego plecami. Sięgnęła do suwaka spódnicy i odrobinę ją rozpięła.

Jake wstrzymał oddech.

Obejrzała się przez prawe ramię z kokieterijnym uśmiechem.

- Jeszcze? - spytała go chrapliwym, dyszącym szeptem.

Skinął głową. Bardzo energicznie. Pociągnęła suwak w dół.

- Widzisz coś, co ci się podoba?

- O tak.

Biedak prawie się ślinił.

Spódnica opadła na podłogę i Sadie powoli się odwróciła. Miała na sobie czarne pończochy z czerwonym paskiem, białe stringi i śnieżnobiały biustonosz.

- Mówiłaś, że nie masz żadnej bielizny - zachrypiął.

- Teraz już nie mam. - Uśmiechnęła się łobuzersko, zdjęła stringi i rozpięła stanik. - No i co?

Jake przycisnął dłoń do piersi, jakby się bał, że wyskoczy mu serce.

- Chodź tutaj - rozkazał.

Nie była dziewczyną, którą trzeba prosić dwa razy. W tej samej sekundzie stała przed łóżkiem, uwięziona między jego nogami.

- Mam cię - powiedział. - Nie uciekniesz mi.

- Jakbym chciała uciekać. - Sadie zaśmiała się. - Zastanów się lepiej, czy wiesz, kogo bierzesz w niewolę.

Opadł plecami na łóżko i pociągnął ją na siebie.

W chwili, gdy odnaleźli swoje usta, czas przestał istnieć. Owinięta jego silnymi ramionami, odurzona męskim zapachem, chciała czuć jego nagie ciało przy swoim. W namiętnym oszołomieniu rozerwała poły jego koszuli i położyła dłonie na twardym brzuchu.

- Jesteś najgorętszą kobietą, jaką kiedykolwiek znałem - szepnął, patrząc jej głęboko w oczy.

- Wiedząc o twojej reputacji podrywacza, uznaję to za komplement.

- Moja reputacja jest trochę na wyrost.

- Nie przeszkadza mi, że miałeś dużo kobiet.

- Nie tak dużo, jak myślisz, naprawdę. Po prostu lubię flirtować. To nie ma żadnego znaczenia.

- Wiem. - Dotknęła wskazującym palcem jego brody. - Ale ja nie proszę, żebyś się ze mną ożenił. Nie musisz mi obiecywać szczęścia do grobowej deski. Tu chodzi o seks. Nic poważnego.

Skąd w takim razie uczucie, że to było cholernie poważne?

I dlaczego nagle zrobiło jej się tak strasznie smutno? Czy chciała od niego coś więcej?

Sadie pokręciła głową. Nie. Kilka razy dał jej jasno do zrozumienia, że ona nie jest dla niego właściwą kobietą.

Z radia popłynęły pierwsze nuty starej popularnej piosenki „Going to the Chapel”. Znała ją na pamięć. Ogarnął ją strach, kiedy uświadomiła sobie, ile razy pada w niej słowo „małżeństwo”. Wiedziała, że jako Sara nie będzie w stanie kochać się z Jakiem, zdając sobie sprawę, że to przygoda na jedną noc.

Musiała wyłączyć radio, zanim padnie to słowo, zanim zostanie wtłoczona w osobowość nudnej skromnisi, z którą żyła w oderwaniu od prawdziwego życia przez ostatnie dwadzieścia cztery lata.

W panice sturlała się z Jake'a i rzuciła się przez całe łóżko do radia.

- Hej, wracaj tu natychmiast - zażartował i chwycił ją za talię.

- Nie, proszę, ty nic nie rozumiesz. - Próbowała się wyrwać, ale już wiedziała, że nie zdąży.

- Rozumiem. Chcesz się posiłować.

Przerzucił ją na plecy i usiadł na jej nogach.

Patrzyli sobie w nieruchomo w oczy.

Sadie oddychała ciężko, wyęzając słuch, żeby złapać słowa piosenki.

Och, nie. Och, nie. Już, zaraz się stanie.

-... i będziemy małżeństwem... - zawadzili "Beach Boys".

No i znów była cnotliwą Sarą.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Sadie, dobrze się czujesz?

Sara dyszała z przerażenia, a jednocześnie czuła, jak ogarnia ją euforia. Ona, wychowana pod kloszem, staroświecka Sara Stanhope, była w łóżku z tym najprzystojniejszym pod słońcem, silnym, męskim, fantastycznym pod każdym względem mężczyzną. Sadie udało się aż tyle, ale nie było już Sadie, tylko ona, Sara, całkiem sama z mężczyzną swoich marzeń.

Nigdy w życiu nie była tak zdenerwowana. Ani tak cholernie podniecona.

Patrzył na nią jak kot na mysia norkę". Jednym gładkim ruchem obrócił ich oboje, i znowu była nad nim, obejmując go nogami w pasie.

- Sadie? - powtórzył, szukając wzrokiem jej twarzy.

- W porządku - wykrztusiła w końcu. - Nic mi nie jest. Naprawdę.

- Myślałem przez moment, że może zrobiłem ci krzywdę.

- Nie, skąd.

Z jednej strony chciała wyskoczyć z łóżka i uciec, z drugiej - była zbyt podniecona i zdenerwowana, żeby myśleć o wyjściu gdziekolwiek. Nadal chciała kochać się z Jakiem. Modliła się o tę chwilę od dnia, w którym go poznała. Ale strach przed nieznanym przyprawiał ją o drżączkę.

Po prostu udawaj Sadie. Rób to, co ona by robiła i wszystko będzie dobrze.

Tylko skąd miała wiedzieć, co robiłaby Sadie? Tamta kobieta była wytworem wyobraźni jakiegoś hipnotyzera.

- Jakieś wątpliwości? - wymruczał Jake. - To nie jest zabronione.



- Nie - odpowiedziała drżącym głosem. - Żadnych wątpliwości.

- Kochanie. - Ujął w dłonie jej twarz.

Był piękny. Silny, muskularny, męski w każdym calu. W niczym nie przypominał tych delikatnych, zniewieściałych mieszcuchów z grona jej znajomych z San Francisco.

Położyła dłoń na jego brzuchu, a potem powędrowała w dół, coraz niżej... Jej palce dziwiły się aksamitnej powierzchni, badały puls, błędziły tam i z powrotem z coraz większym zapamiętaniem. Nigdy nie dotykała w ten sposób nagiego mężczyzny. Kto by się spodziewał, że to może być tak twarde, a jednocześnie tak jedwabście gładkie?

Jake wyprężył się jak struna i zamknął oczy.

- Łobuzica - szepnął. - Łobuzica z piekła rodem. Mówił tak o Sarze, a niej o jej zakreconym alter ego.

Czy nie dostrzegał różnicy? A ona?

Ta niepokojąca myśl zbiła ją z tropu, ale tylko na moment.

- Czas na rewanż - wydyszał. - Teraz ja będę cię torturował. Chodź tu.

Przewrócił ją na bok i ułożył w kołysce swoich ramion. Nie odrywając wzroku od jej twarzy, wsunął palce między zaciśnięte uda. Zaczął pieścić ją w taki sposób, że zamarła na moment, a potem kurczowo trzymając jego rękę, oczami błagała o litość.

- Dobrze ci?

- Umm...

- A tak?

- Bosko.

- To znaczy, że coś robię nie tak. Powinno być diabelnie dobrze.

- Och, skarbie, przysięgam, że wszystko robisz bardzo dobrze.

Dlaczego to zabrzmiało, jakby mówiła głosem Sadie? Sara nigdy by się nie zdobyła na tak bezwstydną szczerość. Czyżby się podświadomie wcielała w wymagowaną uwodzicielkę?

- Jesteś taka piękna. Nie mogę uwierzyć, że jestem z tobą w łóżku. Marzyłem o tym od tylu dni.

O kochaniu się z niepoohamowaną Sadie czy ze sztywną, nieprzystępną Sarą?

Ona sama nie wiedziała, kim naprawdę jest i kim będzie, gdy pryśnie czar jednej nocy. Co gotuje przyszłość jej i Jake'owi.

Czy to była przygoda na jedną noc? Czy mogła być czymś więcej? Czy Jake chciał, żeby była czymś więcej?

Ich usta połączyły się w długim, zachłannym pocałunku. Sara poczuła mrowienie w nogach, a potem ciepły dreszcz przeszywający jej ciało. Błądząc palcami po jego plecach, wiała się, pojękiwała, unosiła prosząco biodra. Kiedy pomyślała, że nie wytrzyma ani sekundy dłużej tej niewymownie słodkiej tortury, Jake rozsunął jej nogi i próbował łagodnie w nią wejść. I napotkał twardy opór.

Znieruchomiał i spojrzał na nią z niedowierzaniem.

- Ty... ty jesteś... dziewicą?

Sara przygryzła z zakłopotaniem górną wargę.

- Widzisz w tym jakiś problem?

- Ja... ja... - Wpatrywał się w nią z otwartymi ustami, jakby odjęło mu mowę. - Nigdy bym nie przypuszczał.

- Bardzo ci to przeszkadza?

- Przeszkadza? Przeszkadza? Kobieto, co ty mówisz. To marzenie każdego mężczyzny, żeby pójść do łóżka z dziewczyną.

- Serio?

- Całkiem serio.

- Nigdy dotąd nie byłeś z dziewczyną?

- Nie, i gdybym wiedział, że ty nią jesteś, nie odważyłbym się niczego zaczynać.

- Dlaczego nie?

- Bo twoje dziewictwo jest czymś cennym i powinnaś je oddać komuś wyjątkowemu.

- Ty jesteś kimś wyjątkowym, Jake.

- Naprawdę? - spytał ochryplym głosem.

Wolno skinęła głową.

Jake wciągnął w płuca powietrze. Ogarnęło go nieznane, ekscytujące uczucie. Czy to możliwe, że ta kobieta, sprawiająca wrażenie przebojowej, impulsywnej, pozbawionej wszelkich zahamowań, wcale taka nie była? Czy za jej zblazowaną pozą mogła kryć się opanowana, niezawodna, rozsądna kobieta, właśnie taka, jakiej potrzebował?

Nie śmiał robić sobie nadziei, ale odkrycie, że Sadie jest dziewczyną, głęboko go poruszyło.

- Nie myśl za dużo, Jake - szepnęła - tylko kochaj się ze mną.

Pocałował ją namiętnie, a potem bardzo powoli wszedł w jej ciepłe, spragnione ciało.

- Sprawiam ci ból?

- To dobry rodzaj bólu - wymruczała. - Nie bój się.

Rozkoszował się każdą sekundą ich wspólnej podróży. Poruszał się wolno i delikatnie, całując ją, głaszcząc po włosach, szepcząc do ucha czułe słówka, mówiąc, jaka jest piękna.

Jej oczy promieniały na te komplementy i Jake zdał sobie sprawę, że po raz pierwszy wyraża tymi słowami swoje prawdziwe uczucia. Nie odrywali od siebie oczu, aż stali się jednym ciałem i jedną duszą.

Sara obudziła się, przeciągnęła, uśmiechnęła. Miała rozkosznie obolałe ciało i świadomość, że posiada mięśnie, o których istnieniu dotąd nie wiedziała. Wyciągnęła rękę do Jake'a, ale poczuła tylko puste prześcieradło. Podniosła głowę, szukając potężnego mężczyzny, z którym spędziła cudowną noc. Jego połowa łóżka była jednak pusta.

Może po prostu wyszedł do łazienki. - Jake? - zawołała głośno. Bez odpowiedzi.

Radosny nastrój wyparował razem z uśmiechem.

Niby czego się spodziewała? Czułych wyrazów miłości? Obietnic wspólnego szczęścia do grobowej deski? Jako Sadie dała mu jasno do zrozumienia, że nie zagrzeje tu miejsca. Dlaczego czuła się oszukana?

Zwłaszcza że to ona go oszukała. Pozwoliła, żeby poszedł z nią do łóżka, myśląc, że jest szaloną, beztroską Sadie. To nie wina Jake'a, jeśli ich wspólna noc nie była dla niego niczym innym niż rozrywką. Sadie mu powiedziała, że tego właśnie chce.

I widocznie tego samego chciał Jake.

Przygryzła wargę, żeby powstrzymać się od płaczu, ale łzy i tak nabiegły jej do oczu. Powinna być wobec niego uczciwa. Powinna powiedzieć mu o hipnozie, o swoim rozdwojeniu jaźni, zamiast zwabiać go do łóżka, wykorzystując jego pociąg do Sexy Sadie.

Nic dziwnego, że od niej uciekł.

Wzdychając, Sara usiadła z podkurczonymi nogami, i dopiero wtedy zauważyła przyczepioną do poduszki kartkę.

Sięgnęła po nią z bijącym sercem.

*Kochana Sadie,*

*pomyślałem, że pozwolę ci się wyspać, nie musisz przychodzić przed dwunastą. Noc była cudowna. Nie mogą doczekać się wieczoru.*

*Jake*

W jednej sekundzie ożyła w niej nadzieja. On nie uciekł, tylko poszedł do pracy. Jak każdy odpowiedzialny człowiek prowadzący interes. Odetchnęła głęboko. Pora się ubrać i iść powiedzieć mu całą prawdę. Zobaczyć, jaką zrobi minę, gdy dowie się, że jego Sexy Sadie jest nikim innym jak Stateczną Sarą.

Dzwonek nad drzwiami zadzwonił wesoło i dwie atrakcyjne młode kobiety pojawiły się w progu pensjonatu. Jake spojrzał na nie zza biurka recepcji.

- Dzień dobry paniom. - Uśmiechnął się na przywitanie.

Wyższa z nich, brunetka z lekkim południowym akcentem, podeszła do niego z wyciągniętą ręką.

- Nazywam się Lizzy Magnason. A to jest Kim Bishop. -

Oszczędnym gestem dłoni wskazała drobną blondynkę.

- Miło mi was poznać. Czym mogę służyć?

- Szukamy naszej przyjaciółki. Właśnie się dowiedziałyśmy, że zeszła na ląd z „Alaskan Queen”, statku, który cumował tu dziesięć dni temu.

- I dopiero teraz zauważyłyście, że jej nie ma?

- To długa historia - powiedziała blondynka. - Myślałyśmy, że ma rendez-vous z pewnym facetem w jego kajucie. Dopiero wczoraj, kiedy statek wrócił do Anchorage, odkryłyśmy, co się stało.

- Zadzwończyłyśmy, oczywiście, do jej ojca, i on szaleje z niepokoju - dodała Lizzy. - Wyleciał już swoim prywatnym samolotem z San Francisco, ale miałyśmy nadzieję, że, zanim się tu zjawi, same znajdziemy Sarę. Ktoś w tym mieście mógł ją widzieć. Może ona nawet tu mieszka?

- Strasznie się o nią martwimy - powiedziała Kim. - Nasza przyjaciółka jest bardzo inteligentna, ale naiwna w sprawach życiowych.

- Jak się nazywa wasza przyjaciółka? - spytał przez zaciśnięte gardło, znając odpowiedź.

- Sara Stanhope, ale może używać imienia Sadie. Podczas balu kostiumowego na statku bawiliśmy się w różne gry towarzyskie. Sara dała się zahipnotyzować, ale wyszła, zanim hipnotyzer miał szansę ją przeorientować. Problem w tym, że pod wpływem tej jakiejś Sadie ona zachowuje się jak kobieta wamp. To niesamowite, ale... - Lizzy zniżyła głos o jedną oktawę -... ona myśli, że jest striptizerką.

Jake z trudem łapał oddech. Nagle zrobiło mu się potwornie gorąco i duszno.

- Sara ma jakieś metr sześćdziesiąt osiem wzrostu, piękne rude włosy i niebieskie oczy. Widziałeś ją gdzieś?

Widział, a jakże. Każdy centymetr jej nagiego ciała.

Skinął głową, nie mogąc wydobyć z siebie głosu. Jego myśli galopowały z niewyobrażalną prędkością. Nagle wszystko zaczęło być jasne. Dlaczego Sadie bywała opanowana i chłodna, a innym razem

zwariowana i uwodzicielska. Myślał, że jest z natury kapryśna i zmienna, tymczasem ona przez cały czas była pod wpływem hipnozy.

Z kim kochał się w nocy? Z grzeczną Sarą czy z tą nieprawdziwą zakreconą Sadie?

Zamknął oczy. Skoro robiła striptiz, to musiała być Sadie. To ona radośnie oddała mu dziewictwo Sary. Nie sama Sara. Czy Sara w ogóle będzie pamiętała, co między nimi zaszło?

To wszystko było nie do pojęcia. Jake potarł palcem brew i otworzył oczy. W samą porę, żeby zobaczyć Sadie, a może to była Sara, idącą korytarzem w stronę holu recepcyjnego. Włosy miała upięte na czubku głowy, bluzkę zapiętą pod szyję i poważną, zaniepokojoną minę.

To musiała być Sara.

Czuł zdenerwowanie i strach. Wszystko, co chciał jej powiedzieć dziś rano, kompletnie straciło sens. Jak mógł powiedzieć, że się w niej zakochał, nie wiedząc nawet, kim ona jest?

- Tu jesteś - powiedziała do Jake'a.

W tym samym momencie zauważyły ją Lizzy i Kim.

- Sara!

Przez następnych kilka minut przyjaciółki piszczały radośnie, rzucając się sobie w ramiona.

- Boże, co wy tu robicie? - spytała Sara.

- Harvey nam nałgał. Powiedział, że śpisz z nim, a my byłyśmy na tyle głupie, żeby mu uwierzyć - powiedziała Kim.

- Co za drań. Myślałam, że dostaniemy zawału, kiedy wczoraj wieczorem dowiedziałyśmy się, że plótl bzdury i że zostałeś w Bear Creek.

Wyczarterowałyśmy samolot i przyleciałyśmy tu najszybciej, jak mogłyśmy. - Lizzy uścisnęła mocno Sarę.

- Nic mi się nie stało. Naprawdę.

Trzy kobiety trajkotały jak najęte. Lizzy i Kim dzieliły się swoją wiedzą o hipnozie, Sara opowiadała o dziesięciu dniach, które spędziła w Bear Creek, pracując jako kelnerka, a potem szef kuchni. Wyglądało na to, że zapomniały o Jake'u, który stał obok, wyłączony z rozmowy.

Czuł, że ziemia usuwa mu się spod nóg. Przez cały ranek snuł plany na przyszłość, próbował znaleźć sposób na przekonanie Sadie, żeby została w Bear Creek i pracowała dla niego, żeby dać czas im obojgu na sprawdzenie, dokąd zmierza ich związek. A teraz niespodzianka. Sadie nie była kobietą, za jaką ją brał. Nie była zwariowaną striptizerką, tylko dziedziczką wielkiej fortuny.

- Sadie - odezwał się w końcu, biorąc ją pod ramię. - Mogę porozmawiać z tobą na osobności?

Kiedy zwróciła na niego te wielkie niebieskie oczy, ogarnął go paniczny strach.

- Dajcie mi minutę - powiedziała przyjaciółkom. - Zaraz wracam.

- Jasne. Nie ma sprawy. Już wiemy, że jesteś bezpieczna. Nie śpiesz się - powiedziała Kim. - Aha, jeszcze jedno. Zapomniałyśmy ci powiedzieć...

- Co takiego?

- Zadzwończyliśmy do twojego ojca, jak tylko Harvey przyznał się do kłamstwa. Jest w drodze. Nie zdziwiłabym się, gdyby zjawił się tu lada moment.



Jej ojciec. Tutaj. W Bear Creek. Nie była pewna, czy jest gotowa stawić mu czoła, ale Jake nie dał jej wiele czasu na myślenie o tym. Kiedy wyciągnął ją na tylny dziedziniec, wydawał się bardzo zdenerwowany. Miał zaciśnięte usta i zmarszczone brwi. Nigdy go takim nie widziała.

- Okej - powiedział, jak tylko zamknęły się za nimi drzwi. - Miejmy to z głowy.

- Co?

- Całą tę historię z hipnozą. Od kiedy wiesz, że zmieniasz się z Sary w Sadie?

- Jake, ja...

- Od kiedy?

- Od tamtego wieczoru, kiedy wrzuciłam pastę na głowę recenzentki. Ten numer zrobiła Sadie. Ja miałam wyrzuty sumienia.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś? Zrozumiałbym.

- Naprawdę? Powiedziałaś mi wcześniej, że masz dosyć niestałych, zwariowanych kobiet. Gdybym ci się przyznała, że miotam się między swoją prawdziwą naturą a tą sztuczną, wymyśloną osobowością, nie pomyślałbyś, że jestem stuknięta?

Zamiast odpowiedzieć, wypuścił z płuc powietrze z ciężkim sapnięciem.

- Pamiętasz, co zaszło między nami w nocy?

- Tak. - Spuściła głowę. - Oczywiście.

Uniósł jej brodę i poczekał, aż spojrzy mu w oczy.

- Z kim ja się kochałem? Z Sadie czy z Sarą? Jak miała na to odpowiedzieć?

- A chciałbyś, żebym była którą? - spytała łagodnie. Serce jej zamarło, gdy zobaczyła odpowiedź w jego orzechowych oczach. Sexy Sadie była tą, której pragnął. Nie Rozsądna Sara.

- Mówiłem ci już, że nie możesz być kimś, kim ja chcę, żebyś była. Musisz być sobą. Więc zadam ci lepsze pytanie, skarbie: kim ty, u diabła, jesteś?

Odpowiedziała mu tylko cisza.

RS

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Słuszne pytanie. Szkoda tylko, że Sara nie potrafiła na nie odpowiedzieć. Już nie.

Przez całe życie była grzeczną dziewczynką, oddaną swojemu ojcu, robiącą właściwe rzeczy, przynoszącą chlubę nazwisku Stanhope. Nikt nie mógł jej niczego zarzucić ani wypomnieć, że w jej żyłach płynie gorąca krew jej matki.

Ale gdzieś w jej podświadomości czaił się bunt i objawił się przy pierwszej sposobności, którą stworzył hipnotyzer, zmieniając ją w Sadie.

Gdzieś głęboko w sobie Sara więziła kobietę o nieposkromionym, żywiołowym temperamencie. I przez dwadzieścia cztery lata wstydziła się tej osoby i bała.

Otworzyła usta, żeby opowiedzieć o tym wszystkim Jake'owi, gdy usłyszała dźwięk otwieranych drzwi i zobaczyła w nich głowy swoich przyjaciółek.

- Sara - zawołała Lizzy - przepraszam, że przeszkadzam, ale przyjechał twój ojciec z jakąś kobietą.

Ścisnęło ją w żołądku. Z jakąś kobietą? Tą, która odbierała jego telefony?

Odwróciła się z powrotem do Jake'a. Stał ze skrzyżowanymi na piersi rękami i nieodgadnionym wyrazem twarzy.

- Idź porozmawiać ze swoim ojcem - powiedział. - Może on ci pomoże znaleźć odpowiedź, której właśnie szukasz.

- Pójdiesz ze mną?

Westchnęła z ulgą, kiedy skinął głową. Więc nie skreślił jej jeszcze tak do końca.

Rozdygotana, z duszą na ramieniu, Sara ruszyła do holu recepcyjnego z Jakiem u boku.

Stała jak wryta, gdy zobaczyła swojego ojca siedzącego na skórzanej kanapie. Atrakcyjna, dobrze ubrana kobieta - na oko kilka lat młodsza od jej ojca, który skończył pięćdziesiąt osiem lat - siedziała obok, trzymając go za rękę.

Sara odwróciłaby się i uciekła, gdyby Jake nie zagradzał jej wyjścia.

- Sara! - Jej ojciec poderwał się z miejsca z rozłożonymi ramionami.

W tym momencie wszystkie jej obawy wyparowały.

- Tato! - krzyknęła i podbiegła do niego.

- Kochanie. - Uścisnął ją mocno, ale cały drżał. - Tak się o ciebie martwiliśmy.

My. Czyli on i jego kobieta. To jedno słowo odebrało jej całą radość z ich spotkania. Sara uwolniła się z ojcowskich objęć i zmierzyła wzrokiem jego towarzyszkę.

Kobieta wstała i wyciągnęła do niej rękę.

- Wiem, że to niezbyt zręczna sytuacja, Saro, ale jestem Margery Kowling.

- Doktor Margery Kowling - wtrącił z dumą jej ojciec, patrząc na swoją kobietę z uwielbieniem w oczach. Nonszalanckim gestem objął ją ramieniem. - Ona jest kardiologiem. Poznaliśmy się na festiwalu octowym.

Coroczny festiwal odbył się pół roku wcześniej. Więc od sześciu miesięcy, za jej plecami, jej ojciec spotykał się z Margery? Dlaczego się z tym krył? Dlaczego jej nie powiedział?

Sara z ociąganiem podała Margery rękę, ale ta uśmiechnęła się tak serdecznie, że Sarze zrobiło się głupio.

- Miło mi cię poznać, Margery.

- Twoje przyjaciółki opowiedziały nam, co cię spotkało. To musiało być przykre doświadczenie.

- Delikatnie mówiąc.

- Musimy odnaleźć tego hipnotyzera, żeby cię jak najszybciej przeorientował - powiedział ojciec. - Zanim wrócimy do domu.

- Prawdopodobnie jest jeszcze w Anchorage - wtrąciła się Lizzy. - Ja i Kim spróbujemy go złapać telefonicznie.

Wszystko zmierzało do finału. Jej pobyt na Alasce. Jej cudowna przygoda w roli kelnerki, a potem szefa kuchni. Ojciec zabierał ją do domu.

Ale ona nie chciała wracać. Chciała zostać w Bear Creek.

A czego chciał Jake? Zerknęła na niego przez ramię. Stał oparty plecami o biurko recepcyjne, z całą uwagą skupioną na niej. Odpowiedział uśmiechem na jej spojrzenie, i to dodało jej odwagi.

- Dlaczego nie zadzwoniłaś do mnie od razu? - spytał ojciec. - Wiesz, że wysłałbym po ciebie samolot.

- Wiem i próbowałam zadzwonić, ale kiedy Margery odebrała telefon, nie wiedziałam, co jej powiedzieć. Ani co powiedzieć tobie. Zdałam sobie sprawę, że stoję wam na drodze. Nie chciałam być zawadą, więc postanowiłam zostać w Bear Creek, dopóki nie zarobię na bilet do domu. Zrozumiałam, że o wiele za długo byłam zależna od ciebie.

Jej ojciec wziął ją za rękę i posadził przy sobie na kanapie.

- Nie, kochanie - powiedział łagodnie. - To ja zbyt mocno uwiązałem cię przy sobie. Margery mi to uświadomiła. Powiedziała, że źródłem wielu moich problemów z sercem mógł być emocjonalny stres. Posłuchałem jej rady i zacząłem chodzić do terapeuty.

- Chodzisz do psychoanalityka?

- Od czterech miesięcy. I to jest najlepsze, co mogłem zrobić. Sam powinienem na to wpaść wiele lat temu. Ciśnienie krwi unormowało mi się bez żadnych lekarstw i od lat nie czułem się tak zdrowo.

Sara musiała przyznać, że wyglądał świetnie. Jeżeli to Margery zawdzięczał ten błysk w oczach i energiczny chód, to jaki ona miała powód, żeby się czepiać?

- Dlaczego słowem mi o tym nie wspomniałeś? I o co chodzi z tym emocjonalnym stresem?

Jej ojciec spojrzał pytająco na Margery.

- Najwyższa pora powiedzieć jej o wszystkim, Charles. Sara ma prawo wiedzieć.

- Powiedzieć mi o czym?

- Widzisz, kochanie... zacząłem chodzić do psychoanalityka dlatego, że nie umiałem uporać się z tym, co ci zrobiłem.

- Niczego mi nie zrobiłeś. Byłeś cudownym ojcem.

- Gdyby to mogła być prawda.

- Ale to prawda - zaprotestowała Sara, czując się nieswojo.

- Nie, to nieprawda. Przez wszystkie te lata przerażała mnie myśl, że kiedy dorośniesz, będziesz taka sama jak twoja matka. Że będę dla ciebie zbyt nudny i że mnie zostawisz, tak jak zrobiła ona. Przywiązałem cię do firmy. Nie pozwoliłem ci rozwinąć skrzydeł. Przekonałem cię, żebyś

pracowała w mojej firmie, zamiast zostać wielkim szefem kuchni, tak jak chciałaś. Obawiam się, że nawet wyolbrzymiałem swoje dolegliwości sercowe. Zbliżałaś się do tego samego wieku, w którym odeszła twoja matka. Wykorzystałem swój lekki zawał, żeby przywiązać cię mocniej do siebie. Bardzo się wstydzę tego, co zrobiłem.

- Ale ty nie masz się czego wstydzić. - Sara ścisnęła jego rękę. - Chciałam się tobą zajmować. Nie jestem taka jak moja matka.

Bywała taka, kiedy stawiała się Sexy Sadie.

- Masz jej urodę, Saro. A ona nie była złą kobietą. Prawdę mówiąc, była wspaniała. Taka żywa, swobodna, taka żywiołowa.

Wpatrywała się w ojca. Nigdy nie słyszała, żeby mówił w ten sposób o Marii.

- Poza tym była lekkomyślną, nieodpowiedzialną kobietą, która nas zostawiła. Poświęciła rodzinę dla swojej kariery aktorskiej.

- To nieprawda.

- Co?

- Twoja matka nie odeszła sama. Moi rodzice ją przegonili.

- Babcia i dziadek Stanhope?

- Tak.

Ciężka, ponura cisza zawisła nad nimi jak burza.

- Wyjaśnisz mi to? - spytała w końcu Sara.

Była tak skupiona na słowach ojca, że całkiem zapomniała o Margery i o Jake'u, którzy byli świadkami ich rozmowy. Jedyne, o czym była w stanie myśleć, to głos jej matki nucącej „Sexy Sadie” i kołyszącej ją do snu. Pamiętała jej uśmiech i kolor oczu. Niebieski. Identyczny jak jej.

- Twoja matka była ode mnie dużo młodsza. Tak naprawdę była młodą dziewczyną, kiedy się pobraliśmy. I bardzo chciała zostać aktorką. Wkładała w to mnóstwo wysiłku. Jej zapał i idealizm były tym, co mnie najbardziej w niej pociągało, a ja, jak przypuszczam, dawałem jej poczucie bezpieczeństwa. Prowadziła bardzo burzliwe życie. Twoi dziadkowie od początku byli przeciwni naszemu małżeństwu, ale ja byłem Marią tak oczarowany, że nie potrafiłem dostrzec, że nie pasujemy do siebie pod tyloma względami. Jej potrzebny był ktoś młodszy, bardziej elastyczny.

- Nie wiń siebie za to.

- Muszę. Byłem tak zaangażowany w prowadzenie firmy, że nawet nie zauważyłem, jak bardzo Maria była nieszczęśliwa po tym, jak ty przyszedłaś na świat. To nie znaczy, że cię nie kochała, Saro, ale tęskniła za swoim dawnym życiem. Pewnego dnia, kiedy miałaś jakieś trzy latka, ja byłem w pracy, a ona zabrała cię do swoich przyjaciół aktorów. Śmiali się, bawili, pili wino, a twoja mama myślała, że śpisz w drugim pokoju. Ale ty wyszłaś przez okno i policja znalazła cię gdzieś na ulicy i zabrała na posterunek. Na szczęście nauczyliśmy cię, jak się nazywasz i gdzie mieszkasz. Przyjechali po ciebie moi rodzice i nigdy tego Marii nie wybaczyli.

Sara była blada jak ściana. Drżały jej ręce, nogi miała jak z waty.

- Ale przecież ona nie chciała, żeby stała mi się jakaś krzywda. I nic się nie stało.

Jej ojciec wziął głęboki oddech, zanim zaczął mówić dalej.

- Jest jeszcze coś. Żeby związać koniec z końcem, twoja matka pracowała kiedyś jako striptizerka. Wstydziała się swojej przeszłości i nigdy mi o tym nie powiedziała. Ale dowiedzieli się moi rodzice i po



incydencie z tobą, który dolał oliwy do ognia, zdecydowali, że taka kobieta jest niegodna ich syna. Powiedzieli jej, że jest nic niewartą matką. Przekonali Marię, że tobie i mnie będzie lepiej bez niej. Zagrozili, że jeśli będzie się opierała, użyją wszystkich swoich wpływów, żeby już nigdy nie znalazła pracy jako aktorka.

- Nie - wyszeptała Sara.

- Tak. Wyszła w środku nocy. Wynająłem prywatnego detektywa, żeby ją odnalazł, ale gdy wreszcie mu się to udało, była ciężko chora na zapalenie płuc i nie miałem szansy z nią porozmawiać. Nie wiedziałem, co się naprawdę wydarzyło. Dopiero po wielu latach twoja babcia na łożu śmierci wyznała mi całą prawdę.

- Ale dlaczego nie powiedziałeś mi o tym wszystkim wcześniej?

- Bałem się, że będziesz ją podziwiała i naśladowała. Twoja mama była wspaniałą kobietą, ale mnie przerażała myśl, że mogę cię stracić. Tłumiłem w tobie najmniejsze przejawy żywiołowego zachowania. Nigdy nie pozwalałem, żebyś dawała upust swojemu temperamentowi. Próbowałem wykorzenić z ciebie wszystko, co przypominało twoją matkę.

- Tato. - Położyła dłoń na jego ramieniu. - Nie osądzaj siebie tak surowo.

- Uświadomiłem sobie własną rolę w tym, co się stało, dzięki Margery i mojemu terapeutce. Zdałem sobie też sprawę, że oboje nas oszukiwałem, trzymając się ciebie tak kurczowo. Najwyższa pora, żebym pozwolił ci stanąć na własnych nogach.

Jedenaście dni temu, zanim poznała Jake'a i zaczęła pracować w restauracji, myśl o wyprowadzeniu się z domu ojca i porzuceniu pracy w rodzinnej firmie byłaby absurdalna. Sara nie знаła innej rzeczywistości.

Gdyby była wygadana Sadie, wzruszyłaby ramionami i powiedziała: „Tak to już jest”.

Ale nie była Sadie.

Sarą patrzyła na rękę ojca, która poklepywała jej rękę. Czuła się dziwnie odcięta od własnych uczuć. Jak gdyby pomiędzy jej sercem a głową wznosiła się wewnętrzna ściana.

Kim była, jeśli nie wzorową dziedziczką potężnego imperium octowego? Jeśli nie oddaną córeczką swojego tatusia, jego troskliwą opiekunką?

On znalazł szczęście z Margery, to jasne, i gotów był na zmiany w swoim życiu. A ona?

Czy może jednak była w niej odrobina jej matki, pogrzebana gdzieś głęboko, ale nigdy niezapomniana?

Coś poruszyło się w jej piersi. Gwałtowne doznanie, jak gdyby w końcu na dobre się obudziła. Tyle lat żyła jak w lunatycznym śnie. Przez wszystkie te lata tłumiła w sobie naturalne skłonności do tańca, śpiewu i zabawy. Przez cały ten czas starała się w niczym nie przypominać swojej matki. A Maria była nowoczesną kobietą, która wyprzedzała swój czas. Nie znalazła zrozumienia u dziadków Sary i została przez nich okrutnie potraktowana.

Hipnoza okazała się katalizatorem. Kluczem, który otworzył zamek i pozwolił długo więzionej „Sadie” wydostać się z jej lochu na światło dzienne.

Trzy rzeczy nieodwołalnie ją zmieniły.

Wyznanie jej ojca.

Hipnoza.

Miłosna noc z Jakiem.

Jake... Zupełnie o nim zapomniała! Podniosła głowę, szukając jego żywych oczu i zapewnienia, że wszystko będzie dobrze.

Z drżącym sercem rozejrzała się po całym holu.

Ale Jake'a nie było.

W trzy minuty przeszukała cały pensjonat i restaurację, ale go nie znalazła. Zastanawiała się gorączkowo, w którym momencie rozmowy między nią a jej ojcem mógł wyjść.

Przeszła się po głównej ulicy miasteczka. Wśród tłumu turystów spotkała Cammie Jo i Macka, Quinna i Kay, Caleba, Meggie, ale Jake jakby się zapadł pod ziemię.

Nadzieje Sary gasły.

I wtedy go zobaczyła. Siedział na pomoście, wyciągnięty na leżaku, i patrzył na przybijające do portu statki.

- Hej - powiedziała i usiadła po turecku koło jego leżaka.

- Co ty tu robisz? Myślałem, że zostaniesz ze swoim ojcem.

- Chciałam z tobą pogadać. Ojciec z Margery zatrzymają się w pensjonacie. To trochę dziwne uczucie, dowiedzieć się, że twój ojciec ma dziewczynę.

- Przyzwyczaisz się.

- Naprawdę tak myślisz?

- Twarda z ciebie sztuka, Saro. Wiem coś o tym.

- To Sadie jest twardą sztuką - powiedziała miękko. - Nie ja.

- Nie doceniasz się.

- A możesz powiedzieć, co ty tu robisz? - spytała po chwili milczenia, nie wiedząc, od czego zacząć.

- Patrzę sobie, jak statki wpływają do portu.
- Tylko mi nie mów, że będziesz patrzeć dotąd, aż wypłyną.
- Mógłbym. - Uśmiechnął się ciepło.
- Jesteś pewien, że nie chodzi po prostu o to, że mnie unikasz?
- Wcale nie jestem pewien.
- Zastanawiam się. Może nie pozwolę, żeby ten hipnotyzer mnie

przeorientował.

- Dlaczego nie?
- Boję się. Co się ze mną stanie, kiedy nie będzie już Sadie?
- Będziesz dawną sobą.

Jake wzruszył ramionami, ale w głębi duszy martwił się z tego samego powodu. Bo kiedy ona rozmawiała ze swoim ojcem, on zdał sobie wreszcie sprawę, co naprawdę do niej czuje.

Był zakochany.

Ale zakochany w Sarze czy w Sadie? Odpowiedź? W obu.

To połączenie tych dwóch osobowości rozpało jego wyobraźnię. Ona była wszystkim, czego pragnął. Jednocześnie beztroska i zrównoważona, frywolna i rozsądna, impulsywna i ostrożna. Z jednej strony, mogła z nim bujać w obłokach i sięgać gwiazd, z drugiej - była ostoją, o jakiej potajemnie marzył.

Co się stanie, próbował sobie wyobrazić, kiedy hipnotyzer usunie cechy charakteru Sadie z podświadomości Sary? Czy po tej zalotnej, odważnej, lubiącej korzystać z życia dziewczynie nie zostanie ani śladu? Czy Sara spakuje manatki i wróci do San Francisco? Czy obie znikną z jego życia na zawsze?

Pomimo słonecznego dnia świat wydał mu się nagle o wiele bardziej mroczny. Jak to możliwe, że ta kobieta w tak krótkim czasie zaczęła znaczyć dla niego tak wiele?

Nie miał dobrej odpowiedzi, ale wiedział, że to prawda.

- Nie chcę być dawną sobą - szepnęła. Łzy zamgłyły jej oczy. - Nie chcę, żeby Sadie odeszła.

Spojrzał jej prosto w oczy, żeby uspokoić ją w taki sposób, w jaki nie potrafił uspokoić siebie.

- Nie stracisz Sadie. Ona jest częścią ciebie. Zawsze była. Słyszałem takie zdanie, że nikt nie zrobi pod wpływem hipnozy czegoś, czego i tak by nie zrobił. Wszystko, co robiłaś jako Sadie, było odbiciem tej części twojej osobowości, którą tłumiałaś w sobie zbyt długo.

- Naprawdę tak myślisz? - Pociągnęła nosem i wierzchem dłoni otarła oczy.

- Na sto najprawdziwszych procent. - Uśmiechnął się i gotów byłby oddać wszystkie skarby świata za to, żeby mieć rację.

- Jesteś bardzo śpiąca.

Wieczorem tego samego dnia Sara wierciła się na krześle, czując na sobie wzrok hipnotyzera, swojego ojca, przyjaciół i Lulu. Trudno się było skoncentrować przy tak licznej publiczności, ale nikogo nie miała serca wyprosić. Wszyscy byli dla niej ważni, każdy na swój sposób.

- Proszę, spróbuj się skoncentrować - ponaglał hipnotyzer. - Nie odrywaj wzroku od zegarka.

Chciała mieć to za sobą. Z całej duszy chciała. Bo bez tego nie miała szansy się dowiedzieć, kim naprawdę jest.

- Skup się. Dobrze. Pozwól, żeby twoje powieki same opadły.

Wzięła kilka głębokich oddechów, czując, jak jej ciało staje się ciężkie i bezwładne.

- Kiedy strzele palcami, obudzisz się. Nie będziesz już Sexy Sadie. Słowa „gorący seks” i „małżeństwo” nie będą już wywoływać zmian twojej osobowości.

Okej, w porządku. Była gotowa.

Hipnotyzer strzelił palcami.

Sara zamrugła i rozejrzała się po twarzach ludzi, których kochała.

Wszyscy jak jeden mąż wstrzymali oddech, czekając z niepokojem.

- Gorący seks - powiedział hipnotyzer. Sara wstała z krzesła i zabrała się do striptizu. Hipnotyzer miał panikę w oczach.

- Zaczekaj, to niemożliwe. Ja cię przeorientowałem. Sara założyła ręce na biodra i uśmiechnęła się.

- Może odebrałeś moc słowom wywoławczym, ale nie możesz odebrać mi Sadie. Jake miał rację. Ona zawsze była we mnie. Twoja hipnoza dała jej tylko pretekst, żeby się ujawnić. Bez niej nigdy bym się nie odważyła odsłonić awanturycznej strony mojej natury. I za to ci dziękuję.

Wszyscy zaczęli wiwatować.

Jej ojciec uściskał ją mocno i szepnął jej do ucha:

- Jestem z ciebie taki dumny. Lizzy i Kim piszczały z radości.

- Nareszcie przestaniesz spędzać weekendy w towarzystwie ksiąg rachunkowych.

Quinn i Kay, Cammie Jo i Mack, Meggie i Caleb - wszyscy jej gratulowali.

Potem zwróciła się do Jake'a.

- Chcę ci podziękować za wszystko, co dla mnie zrobiłeś. Dałeś mi szansę bycia sobą i ani razu mnie nie potępiłeś.

Co to miało znaczyć? Jake miał zamglone oczy?

- Wybaczcie nam, kochani - powiedział i wzięwszy Sarę za rękę, wyprowadził ją na korytarz.

- Dokąd idziemy? - spytała nerwowo.

- Ciii. - Wciągnął ją do swojego pokoju i delikatnie zamknął drzwi.

- Zapraszasz mnie na gorący seks? - spytała z bezczelnym błyskiem w oku. - Bo ja jestem gotowa.

- Tak trzymaj, kochanie, ale najpierw chciałem porozmawiać z tobą o czymś innym.

- O co chodzi? - szepnęła, czując, jak krew odpływa jej z twarzy.

Jake wyjął coś z kieszeni. Samorodek złota na kółku do kluczy. Zdjął złoto z kółka, położył na dłoni Sary i zacisnął na nim jej palce.

- Mój ojciec dał mi ten kawałek złota w dniu, w którym zginął. Znalazł go mój prapradziadek w czasach gorączki złota.

- Mówisz poważnie? - Sara otworzyła dłoń i przyjrzała się gładkiej, błyszczącej bryłce.

- Ten samorodek miał mi przypominać, żebym był wierny sobie i nigdy nie szedł na kompromis.

- Nie bardzo rozumiem.

- Przez wiele lat powtarzałem sobie, że nie jestem materiałem na męża. Że jestem zbyt podobny do swojego ojca. Że gdybym się ożenił, to albo musiałbym przestać być sobą, albo zawiódłbym kochaną kobietę. Bałem się, że skrzywdziłbym ją w taki sam sposób, w jaki mój ojciec złamał serce mojej matce.

Wziął ją za rękę, usiadł na brzegu łóżka i poklepał miejsce obok siebie.

- Teraz już wiem, dlaczego zawsze pociągały mnie zabawowe kobiety, które nie oczekują od mężczyzn żadnych zobowiązań. Takie jak Sadie. Uznałem, że lepiej mieć złamane serce, niż ryzykować, że zranię kobietę.

- Dalej w to wierzysz?

- Nie. Dzięki tobie zacząłem patrzeć na to inaczej. Widzisz, myliłem się co do samego siebie. Myślałem, że jestem wierny sobie, kiedy gonię za przygodami, bawię się, uwodzę kobiety.

- A wcale taki nie byłeś?

- Nie. Usiłowałem być godny nazwiska swojego ojca. Myślałem, że kiedy dawał mi ten samorodek, chciał powiedzieć, żebym był taki jak on. I wiele lat próbowałem taki być.

- Więc co cię odmieniło? Dlaczego dałeś razem z przyjaciółmi to ogłoszenie?

- Kiedy oni wszyscy zdecydowali, że chcą się ożenić, poczułem się osamotniony. W ogóle byłem w nie najlepszej formie. Lizalem rany po tym, jak pewna kobieta okazała się mężatką, a nie raczyła mi o tym powiedzieć.

- Auu.

- No właśnie. Doszedłem do wniosku, że jednak chcę się ożenić. Chciałem mieć rodzinę, a jednocześnie wciąż się bałem, że nie podołam odpowiedzialności. Uznałem, że jedynym sposobem na to, żeby udowodnić, iż naprawdę się zmieniłem, będzie sukces w interesach - zapewnienie godziwego bytu mojej przyszłej rodzinie. Kupiłem „Paradise”



i próbowałem zrobić z niego coś, czym nigdy nie był. Tak jak próbowałem przerobić siebie na kogoś, kim nigdy nie byłem. Przedtem głównie szukałem przygód, bo uważałem, że tym powinien się zajmować każdy Gerard. Pakowałem się w przelotne romanse, bo myślałem, że właśnie tego się ode mnie oczekuje. Ale teraz już naprawdę rozumiem, co chciał powiedzieć ojciec, kiedy dawał mi ten samorodek. Kazał mi być sobą.

- A co to znaczy, Jake?

- Chętny, do wzięcia, Alaskanin. Patrzyła na niego pytającym wzrokiem.

- Saro, ty jesteś tym, czego potrzebuję, żeby być wiernym sobie. Miała uczucie, że za chwilę zemdleje.

- Jesteś pewien, Jake? Znamy się niecałe dwa tygodnie. I przez większość tego czasu to Sadie była kobietą, która cię pociągała.

- Nie musimy się spieszyć, jeśli nie chcesz, ale wiem, że nigdy do żadnej kobiety nie czułem tego, co do ciebie. Nigdy nie dostawałem takiej gęsiej skórki jak na twój widok. Nikt inny nie potrafi trzymać mnie w ryzach tak jak ty. Nie mówiąc o tym, kochanie, jak między nami iskrzy.

- Do czego ty zmierzasz, Jake? - Ogarnęła ją panika. Czy na pewno do tego dojrzała?

- I tak jestem cholernym szczęściarzem, bo miałem cię te kilka dni w swoim życiu. - Położył rękę na jej ramieniu. - Ale chciałbym więcej, i ty chyba też.

Sara kompletnie zdrętwiała pod delikatnym naciskiem jego silnej dłoni. Kręciło jej się w głowie, była oszołomiona, oniemiała... i po prostu szczęśliwa.

- Kocham cię, Saro.

Patrzyła na niego nieruchomym wzrokiem, z otwartymi ustami. Marzyła o tym. Ale kiedy naprawdę usłyszała, jak wypowiada te słowa, zaparło jej dech w piersiach. Odjęło jej mowę. Język odmówił posłuszeństwa.

- To jest to miejsce w scenariuszu, w którym mówisz, że też mnie kochasz. - Wyglądał na lekko speszonego. Jakby był pogromcą lwów, który wsadził głowę do paszczy lwa i zorientował się poniewczasie, że to nieoswojony drapieżnik.

- Jake... ja... ja... ja...

- Jesteś zszokowana. Zaskoczyłem cię, wiem. Ale powiem ci coś, skarbie. Mnie też to wszystko zaskoczyło. Najpierw myślałem, że jesteś Sexy Sadie i nie ma mowy, żebyś się mogła we mnie zakochać. I nagle się okazuje, że jesteś zamożną panią, dziedziczką wielkiej fortuny. Więc pomyślałem, że nigdy się nie zakochasz w jakimś zwykłym facecie, takim golcu jak ja.

- Idiotyzm.

- Tak czułem, nic na to nie poradzę. Ale wzięłem do ręki ten samorodek i pomyślałem: do diabła, raz kozie śmierć! Jeśli mam być wierny sobie, to właśnie teraz. Może robię z siebie durnia, ale co mi tam. Stawiam wszystko na jedną kartę. Kocham cię, Saro Stanhope.

Z duszą na ramieniu, Jake nie odrywał wzroku od jej twarzy. O Boże, a jeśli powie, że go nie kocha? Jeśli powie coś naprawdę okropnego w stylu „zostańmy przyjaciółmi”?

Ale zaryzykował z pełnym przekonaniem i nie zamierzał tego żałować. Kochał ją. Ona była kobietą, na którą czekał. Pasowali do siebie

jak wędzony łosoś i świeża bagietka, jak letni upał i zmrożone lody, jak skoczek i jego spadochron. Jeżeli ona tego nie widziała, to... to co?

- Saro, zlituj się nade mną. Zaczynam się tu dusić.

- Och, Jake - wyszeptała. Dałby głowę, że miała zamglone oczy.

Ale czy te zamglone oczy mówiły: „Ja też cię kocham” czy raczej: „Przykro mi, że zrobiłeś z siebie głupca, ale muszę złamać ci serce”?

Jedna samotna łza stoczyła się po jej policzku i wtedy panika chwyciła go za gardło.

- Nie, proszę cię, żadnych łez. Nie chciałem, żebyś przeze mnie płakała.

- Ja nie płaczę.

- Jasne, a zimą na Alasce nie jest zimno.

Następna łza. W desperackim geście chwycił róg bawełnianej narzuty i otarł Sarze oczy.

- Uspokój się, no już. Jeśli mnie nie kochasz, trudno. Zrozumiem, tylko przestań płakać.

- Ty wariacie. Pewnie, że cię kocham. Jezu drogi. Trzeba być ślepym, żeby tego nie widzieć.

- Naprawdę mnie kochasz?

- Na sto procent. - Zaśmiała się przez łzy.

- Wyjdź za mnie, Saro. Chcę spędzić z tobą resztę życia.

- A Sadie?

- Co Sadie?

- Jak ona się znajdzie w tym układzie?

- Poza tym, że noc poślubna będzie cholernie gorąca?

- Och, ty! - Dźgnęła go palcem w zębra.

- Czy to znaczy - tak?

- Tak, tak, tak, milion razy tak! - Przypieczętowała słowa pocałunkiem, w który włożyła całe swoje serce i duszę.

- Mmm - mrucał Jake. - Kocham cię za to, jak całujesz, za to, jak pachniesz, za to, co robisz ze mną w łóżku. Ale są też inne rzeczy, które w tobie kocham.

- Co na przykład?

- To, jak troszczysz się o ludzi, to, że wkładasz w pracę całe swoje serce, sposób, w jaki kroisz jedzenie na milion kawałeczków. Kocham nawet sposób, w jaki chrapiesz...

- Ja nie chrapię.

- Owszem, kochanie, chrapiesz.

- W takim razie dziękuję.

- Za co?

- Za to, że jesteś facetem lubiącym kobiety, które chrapiają. Za to, że jesteś taki cholernie męski i taki dobry w łóżku... - Urwała, żeby podziękować mu pocałunkiem Eskimosów i pocałunkiem motyla, i rajska przekąską. - Ale przede wszystkim dziękuję, że mnie kochasz taką, jaka jestem. Z rozdwojoną jaźnią i wszystkim innym.

- Kotku, wszyscy mamy swoje dziwactwa.

- Ty też?

- Jasne, że tak.

- Powiesz mi, jakie?

- Jestem więcej niż gotów, żeby ci pokazać. Ale najpierw musisz wymówić magiczne słowa.

- Magiczne słowa?

- Doskonale je znasz.
- Gorący seks.
- Wszystko, czego sobie życzysz, kochanie. - Wstał z uśmiechem na ustach i zaczął robić striptiz.

RS